Nr. 20. Warszawa, dnia 16 (4) Maja 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie **rs. 8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZERWANA UMOWA.

Zeszłego miesiąca minister skarbu w imieniu rządu ruskiego zawarł umowę z domami Rotschilda, Bleichrödera i Mendelsohna, z Towarzystwem dyskontowem (berlińskiem), Bankiem dyskontowym (petersburskim) i Międzynarodowym bankiem handlowym o wypuszczenie 3% pożyczki dla konwersyi listów zastawnych byłego Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego. Wkrótce wymienione firmy rozesłały listy, wzywające do zapisów na nową pożyczkę. Tymczasem nagle obiegła świat finansowy wieść, iż Rotschild odmówił swego udziału w tej operacyi. Opowiadano, że zwrócił on się naprzód do rządu ruskiego z prośbą o odroczenie terminu ze względu na niekorzystne warunki rynku międzynarodowego, którego słabość uwydatniła świeżo pożyczka portugalska. Anglia bowiem nie chce uczestniczyć wcale w przedsięwzięciu ruskiem, Niemcy nie widzą w niem wielkiej dla siebie ponęty, nie licząc tedy Holandyi i Belgii, które niewiele nowych papierów zużyć mogą, pozostaje tylko Francya. Powody te rzeczywiście wystarczyłyby do wytłomaczenia zwłoki, uznano je wszakże tylko za pozór, osłaniający względy innej, wcale niefinansowej natury. Dom Rotschildów był w ostatnich czasach przedmiotem licznych i ostrych napaści, że w swych wielkich tranzakcyach pieniężnych z Rosyą zupełnie pomija interesy współwyznawców, którymi powinien warunkować układy. Zaledwie można było wierzyć, ażeby on uległ tym przyganom i nie poświęcił sentymentów na ołtarzu Mamona. Tymczasem *Nowoje Wremia* ze źródeł najzupełniej pewnych wiadomość tę potwierdza i całą sprawę szczegółowo wyjaśnia. Posłuchajmy dziennika petersburskiego:

„Kiedy wszystkie warunki rzeczonej pożyczki konwersyjnej były już ułożone i sama umowa podpisana przez obie strony, szef domu paryskiego Rotschildów, baron Alfons Rotschild uznał tę chwilę za nader stosowną dla wystąpienia do rządu ruskiego z zupełnie niewłaściwem żądaniem na korzyść żydów ruskich, podobnie jak to uczynił w listopadzie roku ubiegłego szef domu angielskiego Rotschildów. Na żądanie to p. Wyszniegradzki odpowiedział Rotschildowi paryskiemu w tym duchu, w jakim już miał sposobność w listopadzie 1890 r. odpowiedzieć Rotschildowi londyńskiemu, tj. stanowczo i energicznie wykazał niewłaściwość takich wymagań. Wówczas baron Alfons Rotschild oświadczył, że odmawia wykonywania zobowiązań, dotyczących umowy co do emisyi 3% pożyczki konwersyjnej i jednocześnie rozpoczął kampanię zniżkową przeciw wartościom ruskim.“

Następstwa tej kampanii — mówi dalej *N. Wremia* — ujawniły się już spadkiem kursu rubla prawie o 6 marek przy jednoczesnej obniżce wartości francuskich, niemieckich i austryackich. Na giełdach europejskich zapanował nawet chwilowo pewien popłoch, który uwidocznił zależność kredytu ruskiego od zagranicy, ale jednocześnie zależność jej od sił finansowych Rosyi. „Dawniej jakoś się udawało umiejscowiać atak zniżkowy, zwracając go tylko przeciw wartościom ruskim; teraz zaś nie tak to łatwa sprawa. Pochodzi to stąd, że ruski minister skarbu ma w rozporządzeniu swojem znaczne zasoby złota, zgromadzone przy pomyślniejszych okolicznościach, a nadto znaczna część tych rezerw umieszczona jest u bankierów zagranicznych, tak że przy braku wiadomości, jaką postawę przybierze ministeryum skarbu wobec odmowy Rotschilda, wszyscy bankierzy znajdą się w strachu, ażeby nie otrzymali lada chwila żądania zwrotu pozostających u nich funduszów ruskich.“ Według ostatniego bilansu Rosya posiada za granicą około 238 milionów rubli w złocie, w Banku państwa, (oprócz funduszu wymiennego (211½ mil.), znajduje się 92½ mil. i należących do skarbu 24,238,549 rs.; wreszcie w mennicy około 3½ mil. „Wszystkie tedy—twierdzi *Now. Wr.* — nagromadzone zasoby złota naszego, tak za granicą, jak w Petersburgu — bez funduszu wymiennego — dosięgają 358 mil. w złocie.“ Gazeta ruska mniema, że z tym zapasem można śmiało wytrzymać knowania Rotschildowskie, a nawet pozwolić sobie na odwet. Co najwyżej ów atak zatamuje na jakiś czas operacye konwersyjne przy pomocy domów zagranicznych. Po cofnięciu się Rotschilda, który wywiera silny wpływ na świat finansowy, nie da się prędko utworzyć nowa grupa pożyczkowa. Wprawdzie wyjechał do Petersburga przedstawiciel paryskiego Crédit Lyonais dla podjęcia i zawiązania przerwanej nici układów konwersyjnych, ale wątpić należy, czy zdoła przeciwważyć „minę“ króla giełd europejskich.

Wobec faktu, że umowa była ostatecznie spisana i podpisana, że rozesłano o niej zawiadomienia, jednostronne zerwanie jej przez Rotschilda jest wypadkiem prawie niebywałym. O ile przypuszczać można, skorzystał on z braku w układzie ścisłego określenia subskrypcyi i zażądał zwłoki bezterminowej, czego naturalnie druga strona przyjąć nie chciała, zwłaszcza że ukryty cel tego odroczenia był dla niej wyraźny. Lepiej zawczasu rozwiązać kontrakt z nieprzyjacielem, niż pozostać z nim w niebezpiecznej spółce.

Pieniądz był zawsze czynnikiem kosmopolitycznym, ogołoconym z sympatyj narodowych lub wyznaniowych, a tę swoją naturę uwydatnił szczególnie w ostatnich czasach. Zadziwia przeto niepomiernie nagły i niezwyczajny w nim objaw pobudek, leżących po za granicami zysku i spekulacyi. Codzień przesuwają się przed oczami naszemi dowody, że wielcy finansiści uważają się za obywateli świata i zamykają swe kasy równie starannie przed sentymentami, jak przed złodziejami. Pamiętne jest wszystkim dokonane przed kilku laty w Niemczech odkrycie kiesy żyda Bleichrödera,

płacącej za wybór antisemity do sejmu. Dla owego bankiera lepszym interesem była przyjaźń z Bismarkiem, niż z wszystkimi żydami; więc pomagał do prześladowania ich. Podobnie usługi Rotschildów nie zawsze licowały z ich stosunkiem — obecne więc ich zachowanie się w sprawie pożyczki ruskiej stanowczo wyszło z norm, do których Europa się przyzwyczaiła.

Z AUSTRYI.

Obrady adresowe i niefortunne ich wyniki. — Projekt adresu dr. Bilińskiego. — Hr. Taaffego i polityka jaja Kolumbowego. — Jak się rozpoczęła sesya wykluczająca kwestye wyznaniowe. — Bloch i Schneider. — Reforma studyów prawniczych. — Gumplowicza podręcznik austryackiego prawa państwowego.

Komedya polityczna, zowiąca się parlamentaryzmem, rzadko zabawniejsze wytwarzała sytuacye, aniżeli obecnie, podczas obrad nad adresem austryackiej Rady państwa. Jawność dyskusyi tej, wypływająca z istoty parlamentaryzmu, znosi przeznaczenie i istotę adresu. Zapoznać on ma rząd z dążeniami stronnictw i z prawdziwemi szansami przeprowadzenia jego programu. Tymczasem głównym celem redakcyi adresu jest zręczne zamaskowanie owych prawdziwych dążeń, zakrycie sprzeczności i stworzenie pozorów zgody. Referenci grup pojedynczych prześcigają się w układaniu długich wypracowań, kłamiąc w imieniu własnego stronnictwa i w imieniu innych; członkowie komisyi adresowej, skłonni do ustępstw, wnoszą jako poprawki nowe kłamstwa, a najuczciwsi żądają opuszczenia ustępów, które kłamią zbyt bezczelnie i pominięcia milczeniem kwestyj zbyt drażliwych. Podczas tych obrad właściwe tendencye stronnictw występują jaknajdobitniej, a zanim cesarz i rząd odbiorą adres, z protokółu posiedzeń i z gazet dowiadują się o prawdziwym stanie rzeczy. Nie można tedy bez uśmiechu śledzić toku tej dyskusyi, nie dziwić się powadze, z jaką mężowie stanu spierają się o każde słówko, którego brzmienie przez rząd na seryo brane być nie może; trudno też pojąć, dlaczego człowiek z bystrością hr. Taaffego tak usilnych dokłada starań, aby Koło polskie, lewica i klub Hohenwarta na wspólny zgodzili się adres. Wszak wiadomo mu, że jeden wspólny od tych trzech grup musi być zbiorem czczych, elastycznych frazesów, nieobowiązującym żadnej z nich do solidarności z innemi w ciągu sesyi parlamentarnej. Lecz hr. Taaffe „uparł się,“ a poseł Biliński przedstawił jako referent komisyi adresowej projekt adresu, który nawet *Neue freie Presse* nazwała arcydziełem sztuki zakrywania myśli. Wawrzyny p. Bilińskiego zaczęły niepokoić Plenera, więc i on wystąpił z własnym pomysłem. Lecz którykolwiek z nich byłby ostatecznie przyjęty, żaden nie wyrażałby stosunków rzeczywistych i nie zmieniłby ich ani o włos...

Ale nie te to względy skłoniły ostatecznie hr. Taaffego do odstąpienia od swego zamiaru. Dołożył on był wszelkich starań, aby wytworzyć pozór istnienia większości ustalonej w nowym parlamencie; lecz w chwili, kiedy się przekonał, że usiłowania te doprowadziłyby do wyniku wprost przeciwnego, że po obradach w komisyi adresowej nastąpić by musiały jeszcze bardziej gorszące w parlamencie, wyrzekł się pozornej większości i adresu, zaproponowawszy Radzie państwa przez usta Smolki, aby zamiast tego aktu złożyła u stóp tronu wyraz hołdu. Wniosek ten przyjęto z uniesieniem: uwalnia on wszystkie stronnictwa od ustępstw niemiłych, a pozory zgodnego popierania programu rządowego ocala.

Istotne stosunki zaś bynajmniej nie sprzyjają spokojnemu przeprowadzeniu programu gospodarczej pracy reformatorskiej, z wykluczeniem kwestyj wyznaniowych i narodowych. Na razie wprawdzie parlament zapełnia porządek dzienny sprawami ekonomicznemi. Lecz podczas rozpraw nad rewizyą regulaminu przemysłowego antisemici, którzy występują w parlamencie jako skrajni obrońcy interesów drobnomieszczańskich i robotniczych, wywołali burzę, dowodzącą, że nowa sesya parlamentarna zaostrzy sprzeczności wyznaniowe i rasowe. Scena, jaka odegrała się pomiędzy antisemitą Schneiderem a znanym obrońcą żydów Blochem, nie różni się niczem od awantur gdzieindziej wyprawianych, a niezrównany humorysta parlamentarny, Smolka, nie miał wobec niej innego środka, prócz oświadczenia, że scena ta nie jest zapisana w protokóle stenograficznym, a zatem się nie odbyła. Stajemy tu znowu wobec zagadki w życiu państwa konstytucyjnego, a raczej wobec całej wiązanki zagadek. W sali Rady państwa zarzuca Bloch Schneiderowi, że tylko dzięki pobłażliwości prokuratora wszedł do parlamentu, że właściwem dlań miejscem jest dom karny. Schneider nie odpiera wcale tych słów, gdyż je wypowiedział „tylko żyd.“ Reszta posłów spokojnie przysłuchuje się tej wymianie opinij pochlebnych. Nikt nie wnosi zbadania sprawy; nikogo nie obraził charakter sprzeczki; nikt nie czuje się dotkniętym na honorze, że zasiadać ma obok człowieka, któremu uczyniono zarzut podobny. Co więcej, nazajutrz dzienniki tłomaczą słowa Blocha, przypominają, że istnieje list Schneidera, w którym tenże wzywa niejakiego Altenbergera, aby złożył przed sędzią fałszywe świadectwo o pewnym procesie; przypominają, że czyn ten zarzucono Schneiderowi poprzednio w osobnej broszurze, że broszura ta była w rękach prokuratoryi, która mimo obowiązku śledzenia wszelkich czynów karygodnych, zaniedbała dochodzenia: a mimo to dla parlamentu ani ta sprawa, ani zajście między Schneiderem a Blochem nie istnieje.

Do przedmiotów najżywiej obecnie rozbieranych zaliczyć należy reformę studyów prawniczych. Projekt rządowy budzi niezadowolenie w kołach uczonych prawników. Dąży on bowiem do konsekwentnego rozdzielenia teoryi od praktyki, podczas gdy oni (Savigny i Unger) rozdział ten, wzrastający od lat wielu, uważają za największe niebezpieczeństwo dla rozwoju umiejętności prawniczej. Ma on wystąpić już w pierwszych egzaminach, tak, że większość studentów już w uniwersytecie popchnięta będzie na drogę specyalizacyi. Dla praktyków obmyśla projekt rządowy ulgi; skraca im czas nauki i ułatwia odbycie jednorocznej służby wojskowej. Pomimo wszakże skrócenia czasu studyów, rozmiar ich ma być rozszerzony; mają być wykładane jako przedmioty obowiązkowe: historya prawa austryackiego i austryackie prawo państwowe. Trudno zaprzeczyć, że przedmioty te powinny należeć do obowiązkowych, a charakterystycznem jeno dla stosunków austryackich jest to, że na myśl, w jaki sposób profesor młodoczeski, słowieński, feudalny lub klerykalny prawo to wykładać będzie, nawet organy rządowe załamują ręce. Ta właśnie obawa, że wprowadzenie austryackiego prawa państwowego na wszechnicach utoruje drogę politycznym roszczeniom grup narodowych, spowodowała zgorszenie, z jakiem w Wiedniu przyjęto najświeższe dzieło profesora Ludwika Gumplowicza, będące właśnie systemem austryackiego prawa państwowego. Literatura tej gałęzi jest tak niesłychanie uboga, że dzieło to powinno by było znaleźć chętne przyjęcie. Ministeryum oświaty dwukrotnie rozpisało było konkurs, a żadnej z prac nadesłanych nie można było przeznaczyć nagrody. Dzieło Gumplowicza *) zbyt wiele posiada zalet formalnych, aby atak prasy niemieckiej, t. zw. wiernokonstytucyjnej, mógł być skutecznym ze strony naukowej. Tem gwałtowniej zaś napadają autora za „odkrycia“ na polu państwowego prawa austryackiego. Gorszącym wydaje się krytykowi *N. fr. Presse* przedewszystkiem ustęp o „historyczno-politycznych indywidualnościach.“ Bo G. twierdzi:

*) *Das oesterreichische Staatsrecht*, Wiedeń, 1891, u Manza.

CHRZCINY.

G. de Maupassanta.

Przed bramą folwarku wyczekiwała gromadka świątecznie przystrojonych ludzi.

Majowe słońce rzucało jasne promienie na różowy pachnący kwiat jabłoni, który tworząc z drzew olbrzymie białe bukiety, zamieniał je w jakiś dach kwiatowy, rozpostarty nad całem domostwem. Białe jakby śnieżne płateczki rozsiewały się dokoła i chwiejąc się w powietrzu, padały na wysoką trawę, między krwiste maki i błyszczące jak płomień nasturcye.

Duża świnia o nabrzękłych wymionach i ogromnym brzuchu drzemała przy gnojowisku, nie zważając na niepokojącą ją gromadę prosiaczków, z pozakręcanymi jak sznurki ogonkami.

Nagle z poza drzew, w oddali, dał się słyszeć dzwon kościelny... Spiżowy jego głos słał w jasne niebo swe wezwanie ciche i oddalone.

Chybkie jak strzała jaskółki szybowały po błękitnej przestrzeni, zamkniętej wielkimi, nieruchomo stojącymi bukami. Zapach obory łączył się z miękką i słodką wonią jabłoni.

Jeden z ludzi stojących najbliżej drzwi domostw — zawołał:

— Prędzej, prędzej Melino, już dzwonią!

Był to duży, tęgi chłop, którego długie roboty w polu nie starały jeszcze, ani zgarbiły. Ojciec jego, starzec, przekrzywiony jak pień dębowy — zauważył:

— Kobiety nigdy nie są na czas gotowe!

Młodsi synowie starego roześmieli się, a jeden z nich zwracając się ku najstarszemu bratu, dodał:

— Idź po nich Hipolicie. Nie wyguzdrzą się i na południe.

Wezwany wszedł do mieszkania.

Stado kaczek zatrzymało się przed pozostałemi, kwacząc i trzepocząc skrzydłami, zmierzyło wreszcie ku bagnisku zwykłym swym wolnym, bujającym się chodem.

Teraz w otwartych drzwiach domostwa ukazała się gruba kobieta z dwumiesięcznem dzieckiem na ręku. Białe wstęgi jej wysokiego czepca spadały na plecy, na czerwono-płomienną chustkę, a spowinięte w bieliznę niemowlę cicho spało u jej łona.

Z kolei wyszła matka, wysoka i silna, dwudziesto-ośmioletnia zaledwie, świeża, uśmiechnięta, trzymająca męża pod rękę. Za niemi postępowały obie babki, pomarszczone jak stare jabłka. Jedna z nich była wdową; oparła się na ręku stojącego przed drzwiami dziadka i poszli razem na czele orszaku, tuż za dzieckiem i akuszerką. Pozostała rodzina ruszyła w ich ślady. Najmłodsi nieśli pełne, papierowe torby cukierków.

W oddali tymczasem dzwonek dzwonił bez odpoczynku, wzywając małego, oczekiwanego dzieciaka. W rowach, koło drogi, pełno było urwisów; ludzie ukazywali się przy opłotkach; dziewczyny folwarczne zatrzymywały się pomiędzy dwoma skopka-

„Z historycznego połączenia pewnego kompleksu krajowego z organizacyą państwową, skoro połączenie to trwało przez czas dłuższy, urasta indywidualność historyczno-polityczna, która jako taka wymaga i zajmuje samoistne w państwie stanowisko prawno-państwowe.“ Co więcej, ośmiela się on upatrywać w Austryi następujące indywidualności historyczno-polityczne: Tyrol, Kraje korony czeskiej, Galicyę i Bukowinę, Węgry i Kroacyę. Nie mniej gorszą się w Wiedniu jego twierdzeniem, że koronacya jest aktem symbolicznym, wznawiającym pamięć faktu, iż pewna narodowość historyczna dobrowolnie poddała się berłu habsburskiemu. Lecz mimo tych krzyków, wykłady austryackiego prawa państwowego trzymać się pono będą bardziej ducha podręcznika Gumplowicza, aniżeli wywodów jego krytyków wierno-konstytucyjnych; a czesi domagają się już nawet osobnej katedry dla *czeskiego* prawa państwowego.

S.

ORGANIZACYA STRONNICTW W GALICYI.

Lwow, 10 maja.

Przegląd stronnictw galicyjskich rozpoczynamy od stańczyków, którzy mimo pewne zmiany, przedstawiając stale interesy większych obszarów dworskich, trzymają w swej dłoni ster rządu. Nic naturalniejszego, żyjemy w kraju który ma przeszło trzynaście milionów morgów ziemi, a ziemia ta, podstawa naszego bytu, tak jest między ludźmi rozdzielona, że na każde 100 morgów 42½ należy do jednego pana, czyli że właściciel większej posiadłości ma 150 razy większy „interes“ polityczny niż nawet najbogatszy chłop. A im więcej wody w naszych rzekach spływa, im dalej postępujemy z czasem, tem więcej gruntów przypada na jednego pana, tem mniej znamy półpanków. Cóż stąd wynika? To, że grupa większych właścicieli czyli konserwatystów jest w Galicyi najsilniejsza. A mają co konserwować! Około 6 milionów morgów należy do tej rzeszy złożonej z 2,000 rodzin.

Jako właściciele wielkich folwarków posiadają oni swoje szczególne interesy do obrony. Żądają wysokich cen zboża, dobijają się o to, aby przewóz jego na kolejach był jak najtańszy i najłatwiejszy, o co rok w rok zaciętą staczają walkę; starają się, żeby koleje prowadzono przez ich grunty, a ponieważ mają w swoich gorzelniach i na swych pastwiskach sporo bydła do sprzedania, więc zamykają granicę przed tańszem, aby usunąć wszelkie współzawodnictwo. Doprowadzili do tego, że jakie kto nam ceny poda za mięso, takie płacić musimy. Aby nie dopuścić przewozu zboża lub bydła z Rumunii, dopięli tego, że zamknięto z tej strony granicę; nasi zaś rzemieślnicy i fabrykanci muszą się cisnąć ze swymi towarami po to, aby jeszcze droższe i gorsze kupować mięso. Skoro tylko zrodzi się zamiar podwyższenia podatku gruntowego, wnet partya ta, jak jeden mąż, staje w obronie swoich interesów. Gdy wykupowano prawo propinacyi, targowali się o nie panowie, jak o coś świętego i dopóty nie ustąpili, dopóki pięknego grosza im nie zapłacono. Teraz, gdy właśnie toczą się układy, aby wpuścić nasze galicyjskie zboże do Niemiec, a za to żeby tu wprowadzić niemieckie towary fabryczne, nikt z członków tej partyi głosu przeciw umowie takiej nie podnosi. Ponieważ dzierżą wszystkie wyższe urzędy w swym ręku, ponieważ mają i w sejmie galicyjskim i w wiedeńskiej Radzie państwa najwięcej swoich ludzi, tak że przegłosować ich nikt nie zdoła, przeto mówią otwarcie, że pragną zachować taki stan w społeczeństwie, jaki jest obecnie. Stronnictwo to przekonało się jednak, że z braku ścisłej organizacyi przegrało w ostatniej kampanii wyborczej kilkanaście mandatów; postanowiło więc po chybionych usiłowaniach zgrupowania żywiołów konserwatywnych na sejmie założyć w tym celu stowarzyszenie polityczne pod imieniem „Związku,“ któryby objął najszersze warstwy obywateli, pragnących zachowania istniejącego stanu rzeczy w Galicyi, a rozbitych na koła i kółka. „Wyjdźmy raz z odosobnienia — są słowa najświeższej odezwy stańczyków — z tego stanu rozbicia, otwórzmy szeroko podwoje „Związku,“ niech tam się spotykają ludzie różnych zawodów, obywatele miasta różnych sfer i obywatele wiejscy; niech się ścierają swobodnie opinie w szerokiej skali odcieni. Nie znajdą tam tylko przystępu żywioły rozkładu i negacyi. Łatwiej i prędzej da się tu poznać i wypróbować niejedna nowa siła dla służby publicznej i niejedna zdrowa wybłyśnie myśl. Zwłaszcza zaś skutkiem takiego zjednoczenia winno być wyrobienie i ustalenie opinii publicznej, a nadto zahartowanie odwagi obywatelskiej na obronę własnych przekonań.“ Czereda krajem rządząca czuje z dniem każdym coraz bardziej, że nie brak jej jednostek zdolnych i ambitnych, sięgających po laury zwycięstwa, lecz coraz mniej koło siebie widzi szermierzy, którzyby wodzów słuchali i chcieli zwycięstwo dla nich własną piersią wywalczać. Brak ściśle określonego programu odsłaniał też na zewnątrz pewne niedostatki, o których delikatnie napomyka w tych słowach *Kuryer* krakowski: „Kiedy żaden klub polityczny nie może obyć się bez ściśle określonego programu, tem mniej może się rządzić sympatyami lub antypatyami choćby najwięcej wpływowych jednostek, bo tam, gdzie niemasz ani widocznej i odpowiedzialnej reprezentacyi stronnictwa, ani zatwierdzonego przez tę reprezentacyę programu, biorą górę żywioły niespokojne, przewodzą najwięcej ruchliwe, choć może mniej rozumne jednostki, a nadto z ubocza, na ochotnika wydają nieprzyjaciele często bezimiennie odezwy i hasła, których nikt nie ma prawa kłaść na karb stronnictwa, ani też pod imieniem tegoż stronnictwa nie może potępić.“ Nowe towarzystwo za cel swój uważa wpływać przez roztrząsanie spraw publicznych, obchodzących kraj nasz, na wyrobienie „zdrowej“ opinii, domagać się na drodze prawnej o pożądane reformy ustawodawcze, sądowe i administracyjne, oraz o sprężyste wykonywanie ustaw, starać się środkami prawnymi o to, ażeby sprawy publiczne miały rzeczników odpowiednich w ciałach ustawodawczych i samorządnych, wreszcie brać początek w zakładaniu towarzystw, mogących podnieść kraj pod względem umysłowym, moralnym i ekonomicznym. Do osiągnięcia tych celów dąży towarzystwo przez odczyty, wspólne narady, sprawozdania, udzielanie opinii i projektów, przez wnoszenie petycyj do ciał ustawodawczych, władz rządowych i autonomicznych, nadto w miarę środków i potrzeby, przez urządzanie czytelń i wydawanie czasopism, mniejszych publikacyj i dzieł. W tym celu założono niedawno „Spółkę nakładową“ z kapitałem 100,000 złr. Mają więc stańczycy swoją drukarnię (Kluczyckiego), swoją księgarnię (pod zarządem M. Stankiewicza), swoje dzienniki, swoje czasopisma naukowe, ilustrowane i ludowe, swój uniwersytet, swoją akademię umiejętności, swój „bank krajowy,“ obecnie przybywa do nich nowy „Związek.“ Mocny Boże, miej nas w swej opiece!

Od tej najpotężniejszej partyi przejdźmy z kolei do drugiej, cieszącej się największym po szlacheckiej wpływem. Tytuł jej urzędowy: „Narodowa demokracya“ I pięknie i z rozmachem przykrajany. Dobierzmyż się najpierw do jej najważniejszych „interesów.“ Przedstawił je trafnie Żegota (Daszyński) w dziełku o partyach politycznych. Kto nie jest szlachcicem, kto nie ma wielkich folwarków, mimo to przecież chce żyć i — jeżeli posiada głowę na karku — może żyć, nawet bardzo dobrze. Ale oprócz głowy potrzeba także pieniędzy. Tu więc już ludzie opierają się nie na ziemi, ale na pieniądzu. Atoli sam kapitał nie puszczony w ruch, nie włożony w sklep, w fabrykę, w warsztat, prędkoby się wyczerpał.

---

mi mleka, które stawiały na ziemi, aby módz się lepiej przypatrzeć chrzcinom.

A akuszerka tryumfująco niosła swój żywy ciężar, starannie unikając kałuży, częstych na nierównym gruncie drogi. Starzy postępowali za nią uroczyście, idąc trochę niepewnie, ze względu na swój wiek i dolegliwości; a ojciec i matka kroczyli poważnie, trochę surowo, za tem dzieckiem, które ma ich zastąpić kiedyś w życiu, dziedzicząc ich majątek i nazwisko, nazwisko Dentu, dobrze znane całej okolicy.

Przeszli dolinę i aby uniknąć długich zakrętów, wybrali drogę przez pola.

Widać już było kościół z ostro zakończoną dzwonnicą. Otwór jakiś przecinał ją tuż pod dachem łupkowym; a wewnątrz coś się poruszało tam i napowrót, wychylając się i kryjąc za wązkie okienko. To dzwon, dzwonił tak bezustannie, wołając nowonarodzonego, aby wszedł po raz pierwszy, do domu Boga.

Pies jakiś przyłączył się do pochodu. Rzucono mu cukierków, skakał więc koło ludzi.

Drzwi kościoła były otwarte. Ksiądz, wysoki o rudych włosach mężczyzna, chudy i silny, także Dentu, stryj malca, jeden jeszcze z braci ojca — czekał przed ołtarzem. Według rytuału ochrzcił zaraz swego siostrzeńca, Prospera-Cezara, który się rozpłakał, sprobowawszy soli symbolicznej.

Po skończonym obrzędzie rodzina czekała na progu, dopóki ksiądz nie zdjął komży, poczem wszyscy ruszyli w drogę. Szli teraz pospiesznie, z myślą o obiedzie. Gromada dzieciaków ciągnęła za niemi, a za każdą garścią rzuconych cukierków tworzyło się straszne zamięszanie, walka zażarta, darcie za włosy i szarpanie się wzajemne; i pies rzucał się także w tę zbitą masę, która broniąc zdobyczy, targała go za uszy, za ogon, za łapy, nie zdołając niczego ocalić przed jego zręcznością.

Akuszerka, trochę zmęczona, odezwała się do idącego obok księdza:

— Proboszczu, czy nie zrobiło by wam wielkiej różnicy potrzymanie przez chwilę waszego siostrzeńca. Niech bym się tylko wyprostowała. Aż mię kurcz chwyta!

Ksiądz wziął dziecko, którego biała sukienka tworzyła wielką jakąś plamę na jego czarnej sutannie, uściskał je zakłopotany tym niemęczącym ciężarem, nie wiedząc, jak go trzymać, jak go sobie ułożyć. Wszyscy się śmieli. A jedna z babek krzyknęła zdaleka:

— Powiedz księże, czy ci nie żal, że nigdy nie będziesz miał czegoś takiego?..

Ksiądz nie odpowiadał. Szedł wielkimi krokami, nie odrywając spojrzenia od niebieskich oczu dziecka; miał ochotę uścisnąć je raz jeszcze i nie mogąc się oprzeć, podniósł malca ku swej twarzy i złożył długi pocałunek na okrągłym policzku. Ojciec zawołał:

— No proboszczu, możebyś chciał takiego jednego, powiedz tylko.

I zaczęli żartować, jak żartują ludzie ze wsi.

Zaledwie siedli do stołu, ciężka wesołość wiejska wybuchła jak nawalnica.

Dwaj młodsi bracia mieli się żenić także; siedziały tu ich narzeczone, przybyłe na ucztę; goście więc nie przestawali rzucać dwuznaczników na rachunek pokolenia, jakie z tych związków wyniknąć mogło.

Grube to były żarty, bardzo tłusto, zmuszające do śmiechu zaczerwienione dziew-

Wskutek tego imają się ci panowie różnych przedsiębiorstw. Jedni biorą kolejowe budowy dróg, mostów lub budynków, inni zakładają fabryki, inni wreszcie probują dla swoich kapitałów szczęścia w kopalniach węgla, nafty itp. Kto się do tamtych gałęzi nie zabrał, ten otwiera browar, młyn parowy lub jakikolwiek większy zakład. Cała siła „narodowej demokracyi" jest skupiona przeważnie w miastach. Dla tego nazywają ją także mieszczaństwem. Grube ryby z pośród nich noszą nazwę „kapitalistów," a najważniejszym ich celem jest, aby nietylko nie stracić kapitału, ale jeszcze dobry procent zgarnąć do kieszeni. I oni więc walczą o tani kredyt i oni walczą o zamykanie granicy, ale nie tak, jak konserwatyści, o zamykanie przed bydłem i zbożem. Oni nie chcą dopuścić tańszej nafty z zagranicy, tańszego żelaza, lepszej przędzy, sukien itd., słowem nie chcą, aby te towary, które oni w swoich warsztatach, fabrykach, kopalniach „produkują," przychodziły z zagranicy i robiły im „konkurencyę." Skoro tylko jakie przedsiębiorstwo na miejscu nie ma dostatecznych kapitałów do prowadzenia interesu, wnet zaczynają się oni upominać, aby państwo, kraj lub gmina dołożyły lub pożyczyły. Przez swoje gazety, przez posłów i mówców domaga się to mieszczaństwo wszelkich ulg podatkowych dla siebie, dla swoich przedsiębiorstw. Ale dotychczas nie rządzi ono krajem. Kiedy tylko wyciągnie rękę po jakąś korzyść, zaraz zjawia się jeszcze dłuższa i większa dłoń szlachecka. Ona to zabiera głównie dobra, a mieszczaństwu zaledwie resztki pozostawia. Widzieliśmy już, kto lepiej wyszedł na wojnie celnej z Rumunią. Nasza demokracya liberalna nie jest jeszcze na wierzchu, lecz pod wierzchem i w środku. To też musi walczyć nie tylko z tem, co jest u góry, ale i z tymi, którzy dół stanowią. Są to robotnicy i często także drobni majstrowie. Kiedy ci z dołu narzekają na rządy szlacheckie, mieszczaństwo głaszcze ich uprzejmie pod brodę, ale skoro tylko zaczną szemrać na wyzysk, na długi dzień roboczy, na nieludzkość kapitalistów, wtedy łagodny baranek radby żywcem połknąć niesfornego. Na szczęście mają jeszcze nasi liberali wązkie gardła. Tak to wygląda podstawa mieszczaństwa u nas, a tak oni sami siebie przedstawiają. Otóż najpierw nazwali się „narodowymi" i zawsze i wszędzie powtarzają, że stanowią cały naród. Ponieważ przemysł i kapitały obce grożą im zagładą, przeto odwołują się zawsze do całego narodu, żeby ich bronił. Niech tylko który z nich założy lichą fabrykę makaronu, o której nikt nie wie, zaraz piszą, że właściwie nie o zarobek im chodzi, lecz o to, aby się przysłużyć krajowi. Jeżeli niemiecki fabrykant np. Fraenkel z Mödlinga odbiera zarobek setkom drobnych szewców, to nazywają go niegodziwcem; skoro zaś taka fabryka założy się w Krakowie, piszą o tem gazety piękne artykuły, ich posłowie oglądają uroczyście fabrykę i całe mieszczaństwo powtarza „Piękny to i patryotyczny czyn założyć fabrykę butów w Krakowie..." Ponieważ nasze mieszczaństwo nie ma nic do konserwowania, ani herbów ani tradycyj, a pole jeszcze przed niemi wielkie do zdobycia, dlatego to z przyjemnością nazywają się „liberałami," „wolnomyślnymi," „postępowcami." Wzrastają coraz bardziej w siłę, mają coraz więcej posłów w sejmie i w Radzie państwa, coraz więcej mówców i pisarzy. Mają organ polityczny, pismo naukowe *Ekonomista*, a tygodnik fachowy *Tygodnik ekonomiczny*. Na czele tej partyi stoi Szczepanowski i Romanowicz. Wywiesili oni na swym sztandarze skuteczniejsze, niż dotąd popieranie ekonomicznych interesów kraju, a mianowicie: a) przejęcie kolei Karola Ludwika przez skarb lub w zarząd państwa; decentralizacyę dróg skarbowych i utworzenie *krajowej* dyrekcyi dla całej, w kraju istniejącej sieci; popieranie budowy nowych, tak głównych jak miejscowych, oddanie polityki taryfowej pod wpływ przedstawicieli ludności przemysłowej i handlowej; b) uwzględnienie ekonomicznych potrzeb naszego kraju przy odnawianiu traktatów handlowych; c) decentralizacyę i oddanie krajowym wytworcom dostaw dla armii, dla kolei skarbowych, dla wszelkich istniejących w kraju władz i zakładów rządowych; d) regulacyę rzek, wydatniejsze popieranie melioracyj, zabudowanie górskich potoków i zalesienie nagich stoków gór; e) taką reformę monopolu soli, aby ludność nie doznawała dotychczasowych utrudnień i podrożeń cen soli w handlu i żeby rolnikom umożliwić nabywanie taniej soli dla bydła; f) wzniesienie własnych budynków na pomieszczenie wszelkich szkół, władz i zakładów rządowych; g) wogóle większe uwzględnienie potrzeb kraju naszego we wszystkich gałęziach budżetu mających na celu popieranie rozwoju ekonomicznego *). O trzeciem stronnictwie t. z. ludowem, które się zróżniczkowało w partyę włościańską pomówimy innym razem.

*) Sam ten program wskazuje, że jego twórcy i wyznawcy przyjmują dodatni udział w życiu Galicyi słabej ekonomicznie. *Red.*

Beta.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po długich radach i krzykach: *heta—wiśta!* wyciągnięto wreszcie w Wiedniu z błota wóz parlamentarny, zrzuciwszy z niego adres, z którym w żaden sposób niepodobna było wyjechać na twardą drogę, i włożywszy lekkie „wyrażenie hołdu." Ponieważ stronnictwa Rady państwa nie chciały przyjąć żadnego proponowanego im tekstu odpowiedzi na mowę tronową, więc postanowiono zamiast niej wyrazić tylko swoją cześć monarsze. Niech będzie błogosławiony ojciec tego pomysłu, bo nietylko wydobył ileś tam grup (kto je policzy!) z błędnego koła, ale wszystkich zadowolił. Czy jednakże nie stwierdził zarazem, że obecny skład Izby — a takim pozostanie długo — jest sam bezsilny i ubezwładnia rząd, nie dając mu żadnej stałej większości?

Zawarty z Niemcami traktat handlowy powitano w Austryi radośnie, chociaż jego warunki nie są jeszcze znane. Oklaskujący go spodziewają się, że on przyniesie jakąś ulgę ekonomiczną. Z powodu tego traktatu jeden z dzienników niemieckich dotyka bardzo ważnego punktu. Mianowicie ci, którzyby tej wody chcieli na swój młyn sprowadzić jak najwięcej, żywią nadzieję, że Niemcy, chociaż w umowie nie przyjęły wyraźnego zobowiązania, obdarzając przywilejami celnymi Austryę, jednocześnie odgrodzą się wyższemi taryfami dla pewnych produktów od Rosyi. Jest to zwłaszcza marzenie rolników austryackich. Odzywają się wszakże głosy, wykazujące, że interes ekonomiczny Niemiec na tak wielkie zróżnicowanie nie pozwoli. Zresztą nie trzeba zapominać, że jakkolwiek zgasło wiele promieni w aureoli Bismarka, ma on ich jeszcze dosyć dla olśnienia swych dawnych bałwochwalców, a wiadomo, że obiecuje w jesieni jako poseł uderzyć całą swą siłą na traktat handlowy z Austryą, który według niego jest szkodliwy. Trudno zatem przewidzieć, czy ten układ się utrzyma.

Sejm niemiecki został odroczony do jesieni. Nie wprowadzał on do życia politycznego ani wrzawy, ani ruchu, od czasu jak Bismark przestał go wichrzyć, ale w każdym razie z zamknięciem tej Izby zbliżyła się już cisza polityki letniej.

Bezrobocie górników w Belgii przybrało wielkie rozmiary. Tam zaczyn ekonomiczny miesza się z wrzeniem politycznem, które ruchom robotników nadaje ostry charakter. Upominają się oni bowiem — obok zmiany warunków dotychczasowych pracy — głosowania powszechnego przy wyborach, czemu opierają się nietylko konserwatyści, ale też liberalni, pragnący przy-

---

częta i skwapliwie podchwytywane przez mężczyzn. Ci ostatni uderzali o stół pięściami, wydając przeraźliwe krzyki. Ojciec i dziadek nie usuwali się także od tych zbytków; staruszki nawet ze swej strony puszczały wodze wesołości.

Proboszcz, przyzwyczajony do tej chłopskiej swawoli, siedział cicho, obok akuszerki, łechcąc palcem małe usteczka siostrzeńca, ażeby zmusić go do uśmiechu. Zdawał się być jego widokiem zdziwiony, jakby nigdy na coś podobnego nie patrzył. Przyglądał mu się bacznie, w poważnem zamyśleniu, z czułością jakąś w głębi serca, czułością dotąd mu nieznaną, dziwną, żywą i smutną dla tej małej istotki, która była synem jego brata.

Nie słyszał i nie widział niczego — zamyślił się nad dzieckiem. Miał ochotę wziąć je raz jeszcze na kolana, tak ciągle stało mu w myśli słodkie uczucie, jakiego doznawał, niosąc malca przed chwilą, w powrocie z kościoła. Czuł się wzruszonym wobec tej poczwarki człowieka, jak wobec tajemnicy jakiejś niewymownej, wielkiej i świętej, tajemnicy wcielenia nowej duszy, wielkiej tajemnicy życia, która się rozpoczyna, miłości, która się budzi, rasy, która trwać nie przestaje, ludzkości, która ciągle kroczy naprzód.

Akuszerka jadła zawzięcie, z twarzą czerwoną, z oczami świecącemi; zawadzał jej jednak dzieciak, bo ją oddzielał od stołu.

Ksiądz zwrócił się do niej:

— Nie jestem głodny, dajcie mi go.

I znowu wziął dziecko. Wszystko wówczas zniknęło przed nim dokoła; wszystko się zatarło i pozostał tak z oczami utkwionemi w tę drobną twarzyczkę różową i nadętą; powoli ciepło małego ciałka ogarniało mu nogi, przenikając go jakby jakąś pieszczotą lekką, bardzo dobrą, bardzo czystą, pieszczotą rozkoszną, która łzami napełniała mu oczy.

Hałas biesiadników stawał się przeraźliwym. Dziecko przestraszone zapłakało.

Ktoś krzyknął:

— No, księże, dajże mu piersi!

Wybuch śmiechu napełnił izbę. Ale matka powstawszy, wzięła syna i wyszła z nim do przyległego pokoju. Wróciła za chwilę, mówiąc, że śpi smacznie w kolebce.

Uczta ciągnęła się dalej. Kobiety i mężczyźni wychodzili od czasu do czasu na podwórze, potem znów powracali zasiąść do stołu. Mięso, jarzyny, jabłecznik i wino zatykały im usta, odymały żołądki, rozpalały oczy, mąciły rozum.

Noc zapadła, kiedy zaczęto pić kawę.

Księdza od dawna już nie było i nikt się nie dziwił tej jego nieobecności.

Młoda matka wstała, aby zobaczyć, czy mały śpi ciągle. Ciemno już było. Na palcach weszła do pokoju, postępując cichutko, z rękami naprzód wyciągniętemi, aby nie potrącić jakiego sprzętu. Ale dziwny szelest zatrzymał ją w miejscu: wybiegła pomieszana, pewna, że słyszała kogoś tam poruszającego się. Wróciła do jadalni, blada bardzo i drżąc opowiedziała rzecz całą. Wszyscy mężczyźni zerwali się z hałasem, pijani i groźni; a ojciec, z lampką w ręku, rzucił się naprzód.

Ksiądz na kolanach przy kołysce łkał, oparłszy czoło o poduszkę, na której spoczywała główka dziecka.

Tłom. *W. S.*

wilej wyborczy zawarować pewną miarą umysłową i stanowiskiem społecznem.

Boulanger, osiadłszy w Brukselli, rozpoczął znowu wzniecać burdy. W zeszłym tygodniu odbyło się zgromadzenie jego popleczników, którzy zapowiedzieli, że wyjdą z dotychczasowej bezczynności i rozpoczną działanie. A zdawało się, że ten niespokojny kiep i jego banda już nie będą grasowali! Dziwnie ten grunt francuski jest przyjazny dla wszelkich warcholstw. Rząd ma wymódz na Belgii, ażeby ze swego domu Boulangera wymiotła.

Prezydent Carnot przybył do Orleanu na uroczystość poświęconą Joannie d'Arc i uczcił bohaterkę gorącemi słowami. Radykalni gorszą się tem, według nas — niepotrzebnie. Chociażby ta dziewczyna nie zdziałała tego, co jej przypisuje legenda, wzniosła się do jakiegoś bohaterstwa, którem zasłużyła na wdzięczne wspomnienie. Trudno zaś wymagać, ażeby przed 400 laty mogła być Ludwiką Michel.

Z Portugalii nadchodzą wieści bardzo groźne, donoszące o zupełnem rozprzężeniu wewnętrznem, które niewątpliwie doprowadzi do przewrotu politycznego: banki ogłaszają niewypłacalność, maszyna rządowa nie działa, maszty i stery w nawie państwowej połamane, a burza nią miota. Możliwość ogłoszenia rzeczpospolitej bardzo prawdopodobna.

Natalia walczy jeszcze z rządem i skupczyną o swój pobyt w Belgradzie. Czy i kiedy nastąpi „ukrócenie opornej" — nie wiadomo.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Dnia 10 maja podczas przejazdu Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu przez miasto Otsu w Japonii, szeregowiec policyjny zranił szablą w głowę Jego Cesarską Wysokość. Złoczyńca chciał się powtórnie rzucić na Wielkiego Księcia, lecz upadł uderzony laską przez Księcia Jerzego Greckiego. Dzięki Bogu rana Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu jest lekka i nie przedstawia niebezpieczeństwa. Telegram, nadesłany osobiście przez Jego Cesarską Wysokość, świadczy o dobrym stanie Jego zdrowia. Jego Cesarska Wysokość Cesarzewicz Następca Tronu nie położył się do łóżka i zamierza dalej odbywać podróż bez zmiany marszruty.

Według telegramu, otrzymanego z Jokohamy w d. 13 maja, zamachu na życie Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy tronu dopuścił się w pobliżu Kioto japończyk, szeregowiec policyjny. Rana zadana została w głowę i nie jest niebezpieczna. Skoro tylko wieść o zamachu przybyła do stolicy Japonii, mikado wyjechał natychmiast do Kioto. Wedle telegramu, nadesłanego z Szanghai do dziennika *Standard*, Jego Cesarska Wysokość Cesarzewicz Następca tronu przybył do Otsu dla zwiedzenia piękności tego słynnego miasta, położonego na Biwa-Umi, w odległości sześciu mil od Kioto. Winny zamachu, japończyk z pochodzenia, nazywa się Tuda-Sanco i służył w policyi. Jego Cesarską Wysokość Cesarzewicza Następcę Tronu ciął on szablą w głowę. Że zbrodniarz miał na celu zamordowanie, nie ulega wątpliwości, lecz tylko dzięki temu, że kapelusz Jego Cesarskiej Wysokości Następcy Tronu był gruby i silny, rana okazała się na szczęście względnie lekką. Przedstawia ona szramę, zadaną szablą na czole i nie ma charakteru groźnego. Mówią nadto, że mikado i jego ministrowie zasmucili się głęboko tym nikczemnym zamachem na pożądanego i wysoce czczonego Gościa. Wypadek ten wywarł na naród japoński wrażenie wysoce bolesne. Donoszą, że zbrodniarz jest waryatem i że był utracił świadomość z powodu wyrządzenia mu jakiejś niesprawiedliwości, a do zbrodni popchnęła go przypadkowa obecność Wysokich Osób. Mikado i ministrowie japońscy odjechali natychmiast do Kioto, aby wyrazić ubolewanie i współczucie z powodu tego wypadku.

Warszawskij Dniewnik donosi:

„Dnia 24 kwietnia, po herbacie wieczornej, czasowo zatrzymany w dniu 21 kwietnia w areszcie policyjnym student uniwersytetu warszawskiego Bolesław Bruliński, w tym czasie, kiedy aresztowani z nim koledzy wyszli dla przechadzki na korytarz, przerznął sobie gardło zwyczajnym nożem stołowym, pozostawionym z przyboru obiadowego i wyszedł na korytarz do kolegów, którzy, zobaczywszy silny krwotok, pospieszyli mu na pomoc wraz z dozorcami, przyczem Bruliński stawiał zacięty opór, jednakże położony został na sofie; pomimo natychmiast udzielonej mu pomocy lekarskiej, zmarł.

O wypadku tym natychmiast zawiadomiono władzę sądowo-śledczą, która też przystąpiła do przeprowadzenia pierwiastkowego śledztwa pod bezpośrednim dozorem p. prokuratora Izby sądowej warszawskiej. Ekspertyza, dokonana przez prof. uniwersytetu Kosińskiego, prosektora doktora medycyny Przewóskiego i lekarza policyjnego Bazylewicza-Kniażykowskiego, przy sekcyi trupa wykazała, że śmierć nastąpiła z przecięcia kanału oddechowego i miękkich jego części, wraz z wierzchnią lewą arteryą tarczową, co spowodowało szybki i obfity upływ krwi i że ranę powyższą zadał sobie sam zmarły, co potwierdza i ta okoliczność, że na piersiach z lewej strony znaleziono powierzchowne ranki, wskazujące, iż zmarły usiłował pozbawić się życia przez poranienie serca."

BADANIA NAUKOWE.

RODOWÓD POWITAŃ.

Fundacya Smithsona wydała cały szereg wybitnych badaczów w zakresie poszukiwań etnograficznych i dziejów kultury. Nazwiska ich jednak są bardzo mało znane po za obrębem Stanów Zjednoczonych i tylko przedstawiciele starszego pokolenia, Morgan i Powell, cieszą się większym rozgłosem za granicami Związku północno-amerykańskiego. Natomiast o całej tej grupie, która stanowi obecnie sztab uczony Biura etnograficznego w Waszyngtonie, zupełnie jeszcze nie słychać w Europie; prawdopodobnie długo będzie ona musiała czekać na odpowiednie uznanie, pomimo że z jej łona wyszło już kilka prac, które badaczom europejskim zdobyłyby sławę w świecie naukowym. Wiele okoliczności składa się na to; naprzód same prace, wychodząc nakładem instytucyi publicznej, ukazują się bez owej reklamy, jaką wywołuje wydawca prywatny; nadto zawarte są one w rocznikach, mało czytanych przez publiczność. Śród zastępu młodych etnografów amerykańskich zwraca na siebie od lat kilku większą uwagę Garrick Mallery. Specyalnością jego, w której przedewszystkiem i po raz pierwszy dał się poznać, jest język znaków i pantomin. Warunki miejscowe popchnęły go w tym kierunku. Na przestrzeni północnej Ameryki istniało jeszcze niedawno kilkaset plemion, które używały odrębnych języków, wzajemne zaś porozumienie odbywało się za pomocą drobiazgowo wypracowanej, międzyplemiennej mowy znaków. Otóż biuro etnograficzne polecił Garrickowi Mallery ułożenie podręcznika i zarazem kwestyonaryusza do studyów nad tym przedmiotem. Nie tylko wykonał on to polecenie, lecz nadto zajął się samodzielnemi poszukiwaniami, naturalnie w ten sposób, że zaczął zbierać materyał faktyczny z pierwszej ręki — żyjącej jeszcze tu i owdzie u czerwonoskórców mowy znaków. Nagromadzone fakty przedstawił na tle porównawczo-etnograficznem *). Z badań tych okazało się np., że niektóre wyrazy, oznaczające pewne pojęcia, są jedynie słownem oddaniem a raczej tłomaczeniem ruchów, używanych w stosownych wypadkach przez mowę znaków, oraz że mnóstwo tych ostatnich całkowicie przechodzi do pisma (wiele znaków piśmiennych w języku chińskim stanowi tylko przeniesienie odpowiedniego ułożenia palców na papier). To poprowadziło Malleryego w dalszym ciągu do studyów nad piktografię czerwonoskórych ze stanowiska mowy znaków i w oświetleniu porównawczem. Badania owe nabrały dlań tem większego znaczenia, że mowa tego rodzaju poprzedziła dzisiejszą, członkowaną. Nie będziemy zatrzymywali się nad jego drobniejszemi pracami w rodzaju szkicu porównawczego *Izraelici i indyanie*, w którym usiłuje zestawić zwyczaje, obrzędy i podania hebrajczyków i czerwonoskórców oraz wyjaśnić podobieństwa wzajemne tych ludów jednakowymi warunkami bytu. Obecnie ukazała się nowa praca Malleryego *O znakach i ruchach przy powitaniu*. Nasze piśmiennictwo posiada już próbę Spencera wytłomaczenia rodowodu różnych powitań. Badacz angielski wychodzi ze swego znanego powszechnie założenia, że ustrój wojowniczy, właściwy pierwotnemu człowieczeństwu, wycisnął swoje znamię na wszystkich objawach życia, a więc i na powitaniach. Tak np. schylanie się przy powitaniu, odkrywanie głowy i in. zwyczaje powstać miały z zachowania się jeńców względem panów. Lecz dość bliżej zastanowić się nad bytem czerwonoskórców, ażeby spostrzedz znaczne nieprawdopodobieństwo Spencerowskiego wykładu. Jeniec, zamiast kornie schylać się do kolan zwycięzcy, bluźni mu i złorzeczy. Palony przy stosie, śpiewa swoje pożegnanie, w którem wysławia własnych plemieńców i hańbi przeciwników. Kto rzucałby się do nóg zwycięzcom, byłby odepchnięty przez swoich jako niepoń i zamordowany na miejscu przez wrogów jako tchórz nikczemny, tymczasem gdy odważny wojownik ma wszystkie szanse zyskania sympatyi i niekiedy zostaje adoptowany. Korne schylanie się, gdyby miało powstać z praktyk wojennych, nigdyby nie ukazało się w Ameryce północnej, a ponieważ istnieje, musiało zrodzić się z innych przyczyn. Nie dziw też, że Mallery, mając takie żywe wzory przed sobą, w wielu razach porzuca drogę, utorowaną przez Spencera, i wykazuje, iż jest ona jedynie manowcem. Natomiast, posiadając swoje źródłowe poszukiwania, etnograf amerykański usiłuje związać powitania z mową znaków. Zresztą stanowisko, jakie zajmuje on w tej mierze, najlepiej skreślą jego własne słowa: „Studya nad literaturą starożytną i podróżami nowoczesnemi wydobyły na jaw mnóstwo etykietalnych formułek grzeczności, nader ciekawych pod względem antropologicznym, lecz wyrażenia przyjaźni były już w użyciu przed ukształtowaniem się mowy. Język znaków był pierwszym sposobem porozumiewania się pomiędzy ludźmi i gesty, za pomocą których wypowiadano wzruszenia i uczucia, poprzedziły i zrodziły dzisiejszy ceremoniał powitań. Będzie to więc najzupełniej w porządku rzeczy, iż jeśli ktoś chce wyjaśnić używane powitanie, słowne czy milczące, powinien zwrócić się do owego minionego języka, którego szczątki znajdujemy jeszcze dzisiaj u głuchoniemych i u ludów pierwotnych. Niewątpliwie, niektóre dzisiejsze formułki słowne są bardzo niedawnego pochodzenia i zgoła nie powstały ze znaków

*) Patrz *Introduction to the study and Sign-language*, a przedewszystkiem ważną rozprawę *Sign language*.

pierwotnych, lecz jest mnóstwo przypadków, gdzie przez długie czasy oddawano powitanie milcząco, bez słów, jako też wiele innych, kiedy używane słowa pochodzą od giestów, które powoli zanikneły."

Powitania za pomocą giestów bywają dwojakiego rodzaju: jedne polegają na bezpośredniem zetknięciu się witających osób, drugie odbywają się z pewnej odległości. Pierwsze są starożytniejsze. Poszukując ich rodowodu, należy cofnąć się aż do świata zwierzęcego i w zwierzęcym języku uczuć i oznak przychylności widzieć pierwsze źródło. Mallery kolejno rozpatruje różne takie bezpośrednie powitania według tych zmysłów, które każdorazowo odgrywają rolę najważniejszą, a zatem dotyku, powonienia, smaku.

Powitania za pomocą dotyku polegają na głaskaniu, uderzaniu i dotykaniu głowy, piersi lub brzucha. W ich istocie tkwi chęć sprawienia komuś przyjemności. Sprężyny duchowe „lizania" u zwierząt, a powitań dotykowych są to same. Zwłaszcza dotykanie brzucha jest nader często wśród ludzkości, i prawdopodobnie powstało z przyjemności wrażenia, jakie sprawia delikatne pocieranie tej okolicy ciała człowiekowi. Na wyspach Maryańskich najserdeczniejsze powitanie polegało właśnie na takiej czynności. W Arabii skalistej przyjaciele witają się, przyciskając wzajemnie swoje policzki bez udziału ręki lub wargi. Ajno, wracając z dalekiej podróży, kładzie swoją głowę na ramieniu przyjaciela, który czyni to samo; starszy zaś z witających się kładzie rękę na głowie młodszego i głaszcze ją wdłuż ramienia aż do ręki. Tych kilka przykładów wystarczy, aby dać niejakie pojęcie o powitaniu dotykowem. Mallery zaznacza, iż ruchy wykonywane przypominają niekiedy wielce różne massaże i rzuty magnetyczne. Tutaj równie należy i nasz zwyczaj podawania dłoni. Jest on względnie świeżego pochodzenia i w użyciu jedynie na bardzo nieznacznej przestrzeni globu ziemskiego. Mieszkańcy okolic podbiegunowych jeszcze w 1833 nie mogli wyjść z podziwu na widok tego sposobu wypowiadania uczuć... Spencer swoim trybem usiłuje wyprowadzić podawanie rąk z pojedynku ręcznego, Mallery odrzuca stanowczo takie tłomaczenie. W okolicach nad Nigrem witający biorą się za palce i posuwają końce ich wzajemnie po powierzchni, tak iż to przypomina raczej szczególnego rodzaju masaż. Tubylcy z nad cieśniny Torresowej na powitanie głaszczą dłonie jednej osoby palcami drugiej. W ogóle, przypatrując się różnym sposobom powitań za pomocą wzajemnego dotyku rąk, nie trudno spostrzedz, że dokonywane ruchy zupełnie niszczą prawdopodobieństwo poglądu, iż zrodziły się z zapasów; przeciwnie, idzie tu o sprawienie komuś przyjemności i wywołanie pewnego prądu „magnetycznego" przez tarcie. Lecz jeśli powitania dotykowe mocno zdradzają pochodzenie zwierzęce, jeszcze bardziej to czynią te, w których główną rolę odgrywa zmysł powonienia. Węszenie się wzajemne psów przy spotkaniu jest objawem tego samego rodzaju, co zwyczaj ludów z Chittagongu przykładania nosów do policzka spotkanej osoby. Zresztą powitania, pochodzące z tego źródła, zanikają z chwilą użycia narkotyków, jak np. tytuniu, osłabiających powonienie. W Siamie jeszcze dzisiaj zachował się obyczaj, iż jeśli ktoś zajmujący wyższe stanowisko ma przyjąć kogoś niższego u siebie, każe wprzódy dowiedzieć się, jak przybysz pachnie; w Gambii mężczyzna, witając kobietę, przyciska nos swój do jej ręki i wącha. Niekiedy podróżnicy mylnie opisują witanie węszeniem jako pocałunki. Wreszcie te ostatnie pochodzą ze smakowania. Są one zawsze zamknięte w pewnych ograniczonych terytoryach, język np. japoński nie posiada nawet słowa na oddanie tej czynności; natomiast w wielu miejscowościach, gdzie były często używane przy powitaniu, powoli znikają. Tak np. w Anglii mężczyzna, wchodząc do jakiegoś domu, czuł się niegdyś w obowiązku objęcia ramionami każdej kobiety, nawet nieznanej. Pocałunki głównie zachowały się w postaci dotykania ustami ręki osoby witanej.

Niekiedy, zamiast bezpośredniego powitania dotknięciem, istnieją tylko symbole, jak np. u chińczyków, którzy nie ściskają już dłoni spotkanego przyjaciela, lecz swoją własną, lub eskimów, głaszczących swój brzuch własny; lub też ograniczono się do słownego powtórzenia dawnej czynności, np. gdy mówimy „całuję nóżki" Nawet wyidealizowane ekstazy i zachwyty religijne zdradzają zmysłowe pochodzenie od węszenia, smakowania itd. Łacińskie „adoro" (ubóstwiam) daje dobitne świadectwo w tej mierze.

Wszystkie powyżej wymienione powitania są pochodzenia zwierzęcego, źródłem ich jest zawsze pewna pobudka fizyologiczna. Natomiast drugi dział powitań — z odległości, o ile one nie są symbolami skróconymi bezpośredniego zetknięcia, zrodził się już z czynników natury czysto społecznej. Witanie tego rodzaju wypowiada zwykle jakieś pojęcie, będące w związku z hierarchią społeczną. Ta też grupa oznak przychylności i poważania musiała okazać się względnie później w porównaniu z powitaniami fizyologicznemi i zwykle bierze ona swój początek w zachowaniu się niższego względem wyższego. Jak wiadomo, Spencer usiłuje wyprowadzić tego rodzaju powitania z ustroju wojowniczego. Mallery przyznaje, że w wielu razach takie tłomaczenie jest trafne, lecz dowodzi, że najczęściej wyjaśnienia należy szukać nie tylo w stosunku jeńca do pana, ile wewnątrz społeczeństwa w szacunku zwykłego plemieńca do wodza i władcy. Wykazuje on, że podobnie jak egipcyanin rysował swego króla na pomnikach zawsze wyższym i większym niż jego świtę, jak w niektórych językach używa się wyrażeń „Wasza Wielkość," „Wysokość," tak samo tu i owdzie pojęcie to zostaje namacalnie wcielone w życie — niżej stojący w hierarchii powinien być faktycznie „niższym." Z tego powodu siadanie na Jawie jest oznaką szacunku, bo wyraża „niższość." Kiedy radża z Lomboku otrzymał w podarunku od anglików karetę, nie wiedział co z nią uczynić, gdyż i woźnica byłby wtedy „wyższym." (siedziałby wyżej). W Siamie nikt nie przejdzie po moście, jeśli ktoś, zajmujący wyższe stanowisko w społeczeństwie, znajduje się pod mostem; taki krok bowiem byłby śmiałością nie do darowania, objawem antyspołecznych, przewrotowych dążności. Słowem źródło tych faktów jest nawskroś społeczne. Otóż Mallery przypuszcza, że schylanie głowy przy powitaniu jest tylko dalszym rozwojem poprzednio przytoczonych objawów. Jak na Jawie ktoś siada, aby dobitnie dowieść swojej niższości (wzrostu), tak samo gdzieindziej schyla się głowę w tym celu, aby witany przewyższał wzrostem innych.

Nie będziemy rozbierali wraz z Mallerym różnych powitań z odległości i spierali się wraz z nim, kto ma słuszność, on lub Spencer; uczynimy tylko uwagę, że silnie podrywa on wywody angielskiego socyologa i jednostronnic „militarnego punktu widzenia." Zdejmowanie czapki według Spencera jest wynikiem poddaństwa i wypowiedzeniem strachu, tymczasem u Mallerygo występuje niekiedy, jako zawieszenie wrogich zamiarów. Pokrycie głowy bowiem w wielu razach było obroną wojenną (hełmy) i zdjęcie go dowodem zaprzestania kroków nieprzyjacielskich.

Na zakończenie winniśmy jeszcze zaznaczyć jedno. Ceremoniał powitań przedstawia istotnie złożoną mozajkę czynów i giestów, i to nietylko w zakresie tych znaków, które musiały ukazać się później, lecz również kiedy chodzi o najbardziej proste i starodawne sposoby okazania przychylności. Owe pocierania nosem, głaskania ramion lub dłoni, wykazują taką rozmaitość, iż badacz zmuszony jest przyznać, że ewolucya powitań odbywała się w bardzo wielu miejscowościach globu ziemskiego w sposób zupełnie samodzielny i że wyszła z kilku ognisk zgoła od siebie niezależnych. Z drugiej strony żaden z publicznych objawów życia ludzkiego nie dochował w sobie tyle pierwiastku zwierzęcego, co właśnie te powitania, które opierają się na pobudkach fizyologicznych.

Lud. Krz.

KARTKI.

Cywilizacya europejska w Tonkinie. Znane są powszechnie ofiary z życia ludzkiego, poniesione przez Francyę przy zdobyciu Tonkinu. Dla wielu zagadką było, co popycha rząd francuski do zajęcia tego obszaru. Dzisiaj zagadka ta jest niezrozumiała jedynie chyba dla tych, którzy nie chcą jej rozwiązać. Weźmiemy jeden obrazek z wielu, trzymając się danych przytoczonych w *Revue scientifique*. Administracya Tonkinu od niejakiego czasu gorliwie się krząta około wykrycia nowych źródeł produkcyi w tym kraju. Jeśli przetłomaczymy to na język zrozumialszy, działalność owej administracyi polega na wybadaniu, do czego przedsiębiorcy francuscy mogą się wziąć z największym zyskiem w Tonkinie. Wreszcie znaleziono to, czego oddawna poszukiwano. Ryż jest najważniejszym produktem rolnym kolonii. Gdyby udało się obmyśleć tanie sposoby pędzenia gorzałki z ryżu, zyski stałyby się olbrzymie. W Tonkinie bowiem niema fabrykacyi trunków taniej, tak iż z konieczności użycie alkoholu jest ograniczone, przywożony zaś z Europy jest za drogi. Tymczasem gdyby można było pędzić gorzałkę na miejscu, a nadto tanio, kilkumilionowa ludność Tonkinu dostarczyłaby niezawodnego rynku spożywców. Administracya Tonkinu zwróciła się do przedstawicieli nauki, mianowicie inżeniera Lezé, profesora szkoły w Grignon, nauka zaś, jak zwykle, przystąpiła do studyów, mających odkryć kalifornię wśdczaną dla kapitalistów francuskich S. Lezé wywiązał się z polecenia należycie. Sposób, przezeń wynaleziony, daje 35—38 kilogramów alkoholu z 100 kilogramów ryżu. „Mechanizm pędzenia wódki wymaga narzędzi nader pierwotnych, a chociaż od naszego postępu przemysłowego zapożyczył aparatu destylacyjnego, jednak nie podnosi zbyt rozmiarów potrzebnego kapitału, który wciąż może być bardzo niewielki. . Należałoby tylko życzyć, aby postępy, poczynione w metropolii, stopniowo szły z pomocą krajom, do których nasza cywilizacya się dostała." W ten sposób *Revue scientifique* kończy swój opis odkrycia pana Lezé. Niema co mówić, powieziono do Tonkinu „istotną" cywilizacyę, nie lepszą zresztą, ani gorszą od tej, jaką niemcy lub włosi szerzą w Afryce...

Rozmiary syndykatów rolnych w Stanach Zjednoczonych. W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* mówiono o związkach fermerskich w Ameryce. Dotknięto ich tam ze strony politycznej. Warto jednak rozważyć wywołany przez nie prąd zrzeszenia się w celach czysto ekonomicznych, jak to czynią syndykaty rolne francuskie. W tym razie rzucają się w oczy przedewszystkiem olbrzymie rozmiary syndakatów amerykańskich. Weźmy chociażby „Farmer's alliance exchange" rolników texańskich; syndykat ten powstał 1887, upadł 1889, obejmując cały obszar Texasu. Założono go w tym celu, aby pośredniczył pomiędzy fermerami i wytwórcami przy kupnie, a spożywcami przy sprzedaży produktów. Dla wprowadzenia samej organizacyi w ruch oraz wzniesienia potrze-

łnych budynków wyznaczono odpowiednie sumy. Kapitał zakładowy miał wynieść 500 tysięcy dolarów. Każdy członek był obowiązany uiścić dwa dolary dla zebrania wyznaczonego kapitału, oprócz tego znaleziono jeszcze inne sposoby zgromadzenia funduszów, w danym razie dość obojętne dla nas. Główny zastęp stowarzyszonych stanowili dzierżawcy: „trójczwóracy,“ tj. oddający w czynszu trzecią część zebranego plonu bawełny i czwartą zboża, a jęczący pod wyzyskiem pośredników. Stawiano jako daleki ideał zrzeszenia własne przędzarnie bawełny i wełny, magazyny narzędzi i środki przewozowe, nawet swój uniwersytet syndykalny. Przedsiębiorstwo rozpoczęło żywot swój jesienią 1887 od zakupna narzędzi i sprzedaży ziarna i bawełny. Niebawem wzięło się do wydawania własnego organu *The Southern Mercury*. Początki były obiecujące, lecz niebawem ukazali się wrogowie. Bankierzy miejscowi, wielcy kupcy hurtowi, właściciele fabryk — wszystko to połączyło się razem w celu zgniecenia syndykatu rolników, między innemi odmówiono mu udzielenia kredytu pod jakimkolwiem warunkiem. Lecz główny cios zadali sami fermerzy. Wobec braku kredytu zażądano składek od członków, których liczbę oceniono na 250 tysięcy głów. Tymczasem wpłynęło ogółem 50 tys. dolarów. Syndykat musiał upaść. Zresztą na jego miejsce utworzył się nowy związek „Farmer's commercial company.“ Dzieje te wskazują względnie małą zdolność nawet w fermerze texańskim, który jest żywiołem chłopskim nader ruchliwym, do zrzeszania się na większą skalę; z drugiej zaś strony dowodzą, iż w sferach drobnej produkcyi budzi się coraz bardziej świadomość konieczności usunięcia pośredników, która z czasem może doprowadzić do prób upaństwowienia pośrednictwa.

Bajki archeologiczne. Nie zaprzątaliśmy uwagi naszych czytelników i nie obciążali ich pamięci szczegółami, dotyczącymi znalezionego a nieznanego rękopisu Aristotelesa, gdyż byliśmy przekonani, że prędzej czy później ta zdobycz ulegnie losowi wielu innych — zostanie w swej wiarogodności zaprzeczoną. Schlieman bowiem wytworzył nową manię śród archeologów, którzy szperając i grzebiąc, odkrywają ciągle nowe „skarby“ i z rzadką łatwowiernością, czy też kłamliwością wmawiają w świat dziwy swoich badawczych powodzeń. Po dziele Aristotelesa, zakwestyonowanem przez jednego z uczonych niemieckich, odkopano jego grób na Eubei pod Eretrią. Dokonał tego dyrektor szkoły amerykańskiej w Atenach, dr. Waldstein. Znalazł on istotnie okazały grobowiec ze statuetką filozofa, z przyborami do pisania i wyrytemi słowami: *Biote Aristotelus*. Mogłoby to wystarczyć, gdyby wielki mędrzec umarł był w Eretrii, a nie w Chalcis, gdyby jego imię nie było dość pospolite w Grecyi i gdyby w jego rodzinie była *Biote*.

Skądinąd znowu przybyła wiadomość, że odkryto grobowiec Kleopatry; to doniesienie jednak ma jeszcze mniej za sobą prawdopodobieństwa.

Po francusku. Podczas zajęcia Francyi przez wojska niemieckie po wojnie 1870 r., pewien małomiasteczkowy grawer, chcąc zarobić coś na tej okoliczności, zaczął wyrabiać i sprzedawać niemcom medale miedziane, na których z jednej strony była wyobrażona głowa Moltkego, a z drugiej napis: „H'Allgemein von Moltke.“ Daremnie łamano sobie głowę, skąd pochodzą te wyrazy — i dopiero sam grawer je objaśnił: zajrzał on do słownika i znalazł, że *general* znaczy po niemiecku *allgemein*, *H* zaś jest początkową literą imienia Moltkego, a więc razem złożyło się: „H' Allgemein von Moltke.“ Ciekawy ten okaz pomysłowości i wiedzy francuskiej jest w posiadaniu kilku oficerów niemieckich.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Pulaski, *Z życia księżnej Kurońskiej*, szkic historyczny, Warszawa, 1890.

Córka magnackiego rodu w sieć swych wdzięków pojmała grubą rybę — syna królewskiego. Na lep miłostki nie poszła i zakochanemu wskazała ołtarz — w ten sposób przybyła nam jedna więcej królewiczowa. Rzecz prosta, gdyby syn Augusta III ożenił się był z jedną z arcyksiężniczek austryackich, jak zamierzał, to — o żonie człowieka, który na tronie polskim nie zasiadał i do dziejów nie wpływał, nie wiedzielibyśmy zapewne nic zgoła, ponieważ wcale by nas nie obchodziła. Ale ożenił się z Krasińską — więc duma szlachecka zaczęła wykonywać szalone harce. Gdyby do tego czasu nie słyszano o dziejopisach, szlachta zrobiłaby choć jednego — stworzyłaby historyę, byle doprowadzić ją do tej chwili błogosławionej, kiedy fartuszek szlachecki otarł się o stopnie tronu. Zaiste, to morze pychy było szeroko rozlane, ale zadziwiająco płytkie. Bo i co za powód do chełpienia się? Iż płochy płci pięknej miłośnik rozgorzał mocnym afektem do ładnej panny, ożenił się z nią w sekrecie i niebawem... opuścił, alež to zaszczyt tak wątpliwy, iż raczej tajemnicą osłonić go wypadało.

Autor, jakkolwiek apologicznie nastrojony, faktom jednak świadectwa wydaje i niekiedy, gdzie należy, wątpliwość zaznacza. Słyszymy więc od niego, iż dążności do znaczenia, władzy i wielkości bywały u rodzin magnackich tak silne, że ustępować im musiały najżywotniejsze interesy powszechne i że starościanka nowomiejska, wyszedłszy za mąż za królewicza Karola, tym właśnie dążnościom u swej rodziny nowy dała impuls. Związek ten niepomiernie wbił ich w dumę nadzieją ujrzenia jednej z Krasińskich na tronie — powiada autor. Nie ulega wątpliwości, że królewicz był istotnie rozkochany w Franciszce Krasińskiej, czy ona jednak miłością mu odpłacała, „czy też związek ten przyjęty był przez nią tylko jako stopień, wiodący do zaszczytów i odznaczenia — o tem milczą podania.“ Pełen galanteryi dla damy autor pospiesza dodać: „wierzyć jednak trzeba, że młode, szesnastoletnie dziewczę przylgnęło łatwo do świetnego młodzieńca i olśnione zaszczytnym związkiem, całem sercem ukochać musiało królewicza.“ Przypuśćmy, że tak było, choć mamy również pewność, „iż ambitne marzenia zaprzątały niekiedy myśl królewiczowej,“ która „bawiła się ochotnie w Najjaśniejszą Panią, a daleka perspektywa polskiej korony zawsze się jej uśmiechała.“ Słabość tę wynagradzać miała, zdaniem autora, wielką dla kraju miłością. Rys ten ostatni, o ile by w czynie był stwierdzony, stanowiłby istotnie o słuszności zaciekawienia, jakie Franciszka Krasińska obudzić może. Atoli nie występuje on dość jasno w listach jej do Adama Krasińskiego, które posłużyły autorowi do jego szkicu, a odnoszą się do czasów konfederacyi barskiej. Że sprawą jej żona księcia Karola gorąco się zajmowała i z przychylnymi sobie przedstawicielami związku prowadziła korespondencyę — nic jest dziwnem, gdzież bowiem sojuszników szukać miała ta, co o tronie zajętym przez Stanisława Augusta marzyła dla swego męża, jak nie u stronnictwa opozycyjnego? Polityka była bardzo w modzie u pań ówczesnych, królewiczowa zaś politykowała tem zawzięciej, iż na powodzeniu konfederatów barskich własne nadzieje opierała. Miała pośród nich stronników. Adam Krasiński, biskup kamieniecki, bliski jej krewny, podniósł projekt powierzenia komendy nad wojskiem konfederackiem księciu Kurlandzkiemu, popierali go przyjaciele rodziny i krewni, Józef Pułaski, Pac, Antoni Lubomirski, wuj Franciszki itp. Agitując w tym kierunku, znosili się z żoną królewicza, on sam bowiem zapału wielkiego dla tych projektów nie okazywał. Przyjąłby on komendę jako pierwszy stopień do tronu, gdyby był pewny poparcia ze strony jakiego wpływowego mocarstwa, nigdzie jednak kandydatury jego do tronu polskiego i praw do Kurlandyi nie brano na seryo.

Chociaż projekt biskupa nie doszedł do skutku, żona królewicza raz sprawą barskich zainteresowana, nie zaprzestała, jak świadczą listy, nią się zajmować. W listach tych wypowiedziano niektóre zdania jej są rozsądne i jasne, autor jednak niesłychanie przecenia wpływ i wagę zdania królewiczowej w sprawach konfederatów. Mniema on, na podstawie wspomnianych listów, że ona to była duszą związku i w jej rękach zbiegały się nici wszystkich zabiegów i usiłowań stronnictwa. Naturalnie jest to złudzenie, jakiemu ulodz może czytelnik dawnej korespondencyi, przyjmując frazes listu za fakt istotny. Jest np. w liście Jędrzeja Zielińskiego, jednego z marszałków konfederackich, do królewiczowej ustęp, w którym wspominając o jakimś projektowanym obrocie wojennym, dodaje: „w czem suplikuję o aprobacyę lub reprobacyę, jeżeli się to Najjaśniejszej Pani (sic!) nie zda i prędką rezolucyę.“ Dworskość i galanterya listu tego czyni autora pochopnym do twierdzenia, iż „objaśnia on stosunek wodzów konfederackich do królewiczowej, której przedstawiali swe plany do aprobacyi lub reprobacyi.“

Być może, iż z rojeniami szlachcianki o wysokiej karyerze łączyła Franciszka Krasińska istotne do kraju przywiązanie i zainteresowanie się losem stronnictwa, ale zarówno jak ambitne nadzieje jej spełzły na niczem, tak i wpływy jej w sprawach kraju i stronnictwa nie zostawiły śladów widocznych i stwierdzonych, głębszego więc interesu postać ta nie budzi.

B.

WYZNANIA LISA.

Memoires du prince Talleyrand, avec une preface et notes par le duc de Broglie, 2 tomy. Paryż, 1891. — Talleyrand, *Memoirs, lettres inédites et papiers secrets*, avec notes de J. Gorsas, 1 tom, Paryż, 1891.

Jakkolwiek Talleyrand był historykiem, naiwnie sądziłby ten, ktoby przypuszczał, iż chytry lis dyplomatyczny dał nam w *Pamiętnikach* szczerą spowiedź ze swego życia. Nikt lepiej nie usprawiedliwił orzeczenia, iż „język dany jest nam dla ukrywania myśli“; to też Talleyrand kłamie teraz potomności, tak samo, jak niegdyś okłamywał różnych swych panów. Dwa pierwsze tomy, ogłoszone obecnie przez księcia de Broglie, przedstawiają jedną olbrzymią mistyfikacyę i to nietylko dlatego, iż wydawca wypuścił niektóre ustępy — co dało powód do zakwestyonowania autentyczności *Pamiętników* — ale głównie ze względu, że autor chciał oszukać jeszcze raz po śmierci świat cały. Rzecz dziwna, iż nawet ludzie tego rodzaju, którzy na wzór rozbójników nie powinniby się kłopotać o to, co ich ograbione ofiary powiedzą, czują potrzebę usprawiedliwienia się ze swych czynności przed historyą. A potrzeba ta widoczna jest z całych *Pamiętników*.

Talleyrand pisał je w r. 1816, gdy służył legitymistom; z góry też można byłoby przewidzieć dążności apologii, którą fabrykował: chce on rzucić zasłonę na swą przeszłość rewolucyjną i wykazać jedność przekonań pod zmiennemi i burzliwemi koleja-

mi swego życia. Stara się wmówić, iż w głębi serca przechował nienaruszone zasady, które doprowadził do zwycięztwa w r. 1814. A więc role, które odgrywał w Zgromadzeniu ustawodawczem, Konwencyi, Dyrektoryacie, Konsulacie i Cesarstwie, były dobrowolnie przyjęte, jakkolwiek nienawistnemi maskami, dla przygotowania powrotu prawowitych monarchów Francyi. Autor w tym celu z wielką zręcznością podrabia i przekręca historyę, nie w jednem miejscu odbywa niebezpieczne *salto mortale*, a w ostateczności ucieka się do prostszego jeszcze sposobu: milczy. To też znaczne luki istniejące w opowiadaniu trzeba przypisać nie tyle nożyczkom wydawców, ile umyślnemu pominięciu niektórych punktów przez autora. Szczęściem historya posiada skądinąd dość dokumentów dla wyjaśnienia wszystkich tych fałszerstw i braków, a wydany jednocześnie z urzędowymi *Pamiętnikami* tom nieurzędowych przez J. Gorsasa, jaskrawo rzuca światło na te strony. Najbardziej kompromitującą dla Talleyranda była jego karyera duchowna: odegrał on tam rolę krzywoprzysięzcy i renegata, z której nie mógł się przechwalać pierwszy minister króla arcychrześciańskiego w r. 1816. Dlatego nic mówi nam ani słówka o tym drażliwym okresie swego żywota. Jak wiadomo, był on od r. 1786 do 1789 zwykłym opatem w Perigord. Już wówczas zasłużył sobie na następną ocenę ze strony Mirabeau: „Za złoto sprzedał swój honor i przyjaciół; za złoto sprzedałby swą duszę i miałby racyę, gdyż zamieniłby zwykły nawóz na kruszec drogi.“ Dzięki uniżoności i intrygom otrzymał biskupstwo Autunu i na tem stanowisku zdobył mandat do Stanów generalnych, gdzie zachowywał się nader wojowniczo: on pierwszy wywołał 11 sierpnia zniesienie dziesięciny, on we dwa tygodnie potem zaproponował użycie dóbr kościelnych na potrzeby państwowe i z zapałem przyjął „stan cywilny“ duchowieństwa. O wszystkiem tem w *Pamiętnikach*, rozumie się, ani słówka. Ani słówka o obydnym udziale w Konstytuancie, Zgromadzeniu ustawodawczem i Konwencyi, gdy bierze pieniądze na prawo, a szuka protekcyi i urzędów na lewo. A gdy 10 sierpnia monarchia runęła, Talleyrand ani chwili się nie waha, aby uchylić głowy przed wschodzącem słońcem Rzeczpospolitej. Wymowny wszakże obrońca legitymizmu milczy o wszystkich tych czynach biskupa z Autun, o jego związkach z Żyrondystami i Jakobinami, od których brał pieniądze i których zdradzał, również jak zdradzał dwór, biorąc i odeń także pieniądze.

Z przyznaniem Rzeczypospolitej — jak i wszystkich innych zresztą rządów — nie ociągał się ani przez chwilę. Nic dziwnego: możnaby doń zastosować pod tym względem zdanie, które on powiedział o pani de Genlis (zamężnej wówczas): „pour éviter le scandal de la coquetterie, elle a toujours cedé aisement.“ „Aby uniknąć skandalu kokieteryi, ustępowała zawsze odrazu“— ustąpił i w danym wypadku, ale wyprosił sobie zarazem u rządu misyę do Anglii. Talleyrand twierdzi, iż chciał w ten sposób uniknąć niebezpieczeństwa, które mu groziło we Francyi jako skrytemu monarchiście. W rzeczywistości chciano go się pozbyć w Paryżu, aby uwolnić Rewolucyę od brudnego łachmana, który ją szpecił. Nie miano wówczas przeciw niemu jeszcze żadnych jasnych dowodów. Było to w r. 1792. W rok jednak potem odkryta została znana paka żelazna, gdzie znaleziono oczywiste świadectwa sprzedajności Talleyranda względem dworu. Oskarżony przez Konwencyę nie stawił się, dzięki czemu wydano na niego wyrok banicyi. Nie jest on wyższy nad swój los i wymyśla nietylko przeciwnikom, ale i krajowi. Porażki armii francuskiej w walce z Anglią zachwycają go. Wygnany z Londynu jedzie do Ameryki i dopiero w r. 1795, po zdjęciu zeń wyroku przez godnych przyjaciół z pośród termidorzystów, powraca do Francyi, rozumie się, jako wierny sługa Rzeczpospolitej i ofiara tyranii Robespierre'a. W r. 1797 wpływ Staelowej, z którą miały go łączyć stosunki miłosne, wprowadził go, pomimo oporu Carnota, do Dyrektoryatu. „Jak to— wołał Carnot — wybrać tego lisa, który nas sprzeda wszystkich na otwartym targu, jednego po drugim, jeżeli mu to tylko przyniesie jakikolwiek zysk? — „E, kogóż to on już sprzedał?“—zapytał Larevellière, inny dyrektor. — Carnot: „Swego Boga naprzód.—Larevellière: „Nie wierzył weń.“— Carnot: „Czemuż mu służył? Swój zakon następnie.“ — Larev.: „To z filozofii.“ — Car.: „Z ambicyi, wierz mi. Swego króla nareszcie!“ — Lar.: „Czyż to *nam* przystoi czynić mu z tego zarzuty?“ — Car.: „Słuchaj, porównaj mnie do dyabła, śmiać się będę. Ale rozgniewam się, jeżeli mnie postawisz w jednym rzędzie z tym człowiekiem!“ Takie pojęcie mieli o Talleyrandzie nowi towarzysze jego z Dyrektoryatu, w którym objął tekę ministra spraw zewnętrznych. We dwa miesiące potem, dnia 18 fructidora dokonany został zamach stanu, po którym nastąpił nowy okres surowego terroru. Uczestnictwo Talleyranda w tych wypadkach dotychczas wyjaśnione nie zostało, a on sam naturalnie stara się sprawę tę o ile można ominąć ogólnikami w *Pamiętnikach*. Niektórzy przypisują mu tu z wielkiem prawdopodobieństwem rolę prowokatora, przypłaconą głowami i deportacyą oszukanych przezeń ofiar. Z drugiej wszakże strony musimy pamiętać, iż krok taki wymagałby polityki śmiałej i hazardowej, stawiającej wszystko na jedną kartę — co nie było w duchu Talleyranda: zbyt często musiał on żeglować do nieznanych brzegów, aby mógł palić swe okręty i niszczyć za sobą mosty.

Talleyrand pozostawał u władzy przez dwa lata. Czemuż w r. 1797 podał się do dymisyi? Nie szukajcie w *Pamiętnikach* wyjaśnienia — są one znowu kompletnie głuche. W rzeczywistości wypłynęła na jaw brudna sprawa, w której sprzedajność jego wystąpiła znowu w całej swej obydzie na światło dzienne. Jeszcze Konwencya toczyła ze Stanami Zjednoczonymi zatarg, który o mało wojny nie wywołał. Pozostał on w spuściznie Dyrektoryatowi, który polecił załatwienie go ministeryum spraw zagranicznych. W ten sposób sprawa wpadła w godne ręce Talleyranda, który wymagał od pełnomocników amerykańskich 50 tysięcy f. st. łapówki za żądane przez nich ustępstwa. Pełnomocnicy odpowiedzieli odmową i propozycyę ogłosili. Narobiło to swego czasu wiele krzyku w całej Europie. Nie dziwnego, że Talleyrand musiał się podać do dymisyi i że o przyczynach tego kroku w *Pamiętnikach* swych milczy.

Pogrążony w błocie powszechnej pogardy, wynurzył się zeń dopiero 18 brumaire'a. W Napoleonie znalazł sobie godnego pana i pod skrzydłem jego miał dość przestworu do rozwinięcia przyrodzonych zdolności fałszerza, oszusta i zbója. Zresztą Napoleon bardzo dobrze się na nim poznał, nazywając go „jedwabnym trzewikiem, napełnionym kałem.“ „Twarz jego — mawiał — jest tak beznamiętna, że gdyby podczas rozmowy z wami ktoś go kopnął w tył, co się mogło każdej chwili zdarzyć, to byście z oblicza jego nigdy tego nie dostrzegli.“ „Pieniądze były jedyną rzeczą, której nie zdradził“ — powiadał o Talleyrandzie. Istotnie, cesarz wkrótce się przekonał o słuszności tego orzeczenia na samym sobie. Talleyrand bardzo wcześnie przewidział skutki zaborczej jego polityki. Widząc, iż katastrofa jest nieunikniona, pozornie opuszcza ministeryum w r. 1807 i otrzymawszy tłustą synekurę *vice-grand-electeur a* (co spowodowało Fouchégo do powiedzenia: „ça ne lui fait qu'un *vice* de plus“), zaczął obmyślać, jakby zdradzić swego pana i otrzymać znowu pierwszorzędną rolę w przyszłym, jakimkolwiek zresztą, rządzie. Sposobność szybko się nadarzyła na konferencyi europejskiej, gdzie zdradził Napoleona, do czego cynicznie w *Pamiętnikach* się przyznaje. To, według niego, był sposób przyspieszenia restauracyi monarchicznej. Talleyrand sądzi, iż uwierzymy, dla tego tylko, że nie podaje ceny, na jaką go za tę usługę otaksowano. Zapewnia nawet, iż otrzymał tylko serdeczne uściśnięcie dłoni.

W Erfurcie kończy się pierwsza połowa jego karyery. Od 1808 do 1814 r. nie zjawia się na scenie. Ale o okresie tym *Pamiętniki* znów milczą, tak że nie wiemy, jaki udział ich autor brał w podkopaniu cesarstwa — co nie ulega wątpliwości. Może zresztą następne tomy rzucą na tę kwestyę nowe światło. Zresztą jeżeli sądzić z obecnych, to napewno nic prawdziwego się nie dowiemy. Jakkolwiek Talleyrand w pamiętnikach gra swą rolę nader wytrawnie, maska spada mu jednak od czasu do czasu i z poza niej wyziera obydna dwulicowość. Żadna przebiegłość języka nie miała dla starego lisa tajemnicy. Napoleon mawiał o nim, iż „jest on jedyny, który potrafi znaleźć dlań odpowiedni język przed Europą,“ a jednak zdolność ta stanowczo na nic mu się nie przydała w *Pamiętnikach*. Kto chce zbyt wiele dowieść, ten niczego nie dowodzi. Nikt nie uwierzy, iż wszystkie czyny Talleyranda miały na celu miłość i szacunek monarchii legitymistycznej, do której odbudowania wciąż dążył. „Tylko nie za wiele gorliwości!“ — powiadał Talleyrand. W danym razie zapomniał on widocznie o tej świetnej maksymie: obrona jego zawiera zbyt wiele gorliwości, aby mogła kogokolwiek przekonać. Kolejno sługa Ludwika XVI i Dantona, Dyrektoryatu i Bonapartego, Ludwika XVIII i Ludwika Filipa kierował się w licznych tych przemianach jedynie względami korzyści osobistej, a jeżeli potrafił utrzymywać wciąż równowagę na tak przeciwległych stanowiskach, to jedynie dzięki przebiegłości i pogardzie, z jaką się wciąż zachowywał względem swych wczorajszych przekonań.

Napróżno stara się on w *Pamiętnikach* ominąć milczeniem punkty niebezpieczne. „Glisser, glisser, n'appuyez pas“ — mawiał w takich razach za życia. Nie ukryje on żadnem fałszerstwem swej sprzedajności, która według Sainte Beuve'a „była raną jego najgłębszą, zarazą obrzydliwą, która go przegryzła do wnętrza.“ To nie ulega wątpliwości. Bo któż uwierzy wybiegowi, jakim się wykręcił na zapytanie Napoleona, skąd pochodzi jego fortuna. „Panie — odpowiedział — kupiłem rentę 17 brumaire'a, a sprzedałem ją 19.“ Jest to cyniczna ironia o znaczeniu: „Zdobyłem fortunę takiem samem łotrowstwem, jak i ty, panie.“ Odpowiedź, którą pytającemu rozbójnikowi musiała zamknąć usta, ale nie zamknie ich historyi.

To też książę de Brogli stracił napróżno pracę, jeżeli chciał nam przedstawić Talleyranda, jako miłego sceptyka o rozległym rozumie. Jest to zwykła kanalia, która zasługuje tylko na najgłębszą pogardę. Za życia miejsce jego było na galerach. Obecnie historya przykuje go do najsromotniejszego ze swych pręgierzów. Już go przykuła! *L. W.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

2 maja.

„Germania“. — Właściciele większej posiadłości w Toruńskiem. — Brak kierownika dusz Towarzystwa.

Przedewszystkiem mam dla tych czytelników, którzy zawodowo trudnią się gospodarstwem rolnem, wiadomość zbliska ich

obchodzącą. „Germania,“ berlińskie towarzystwo ubezpieczeń od gradu, znane w Toruńskiem aż nadto z mnóstwa dotąd jeszcze niepokończonych procesów, wysokich dopłat i licznych strat, na które skarżą się powszechnie zabezpieczeni, wstąpiło w nową fazę działalności. Oto rząd wytoczył mu proces celem odjęcia koncesyi i w Prusiech nikt już i za żadną cenę nie dałby się do zabezpieczenia namówić. To też agitacyę przeniesiono gdzieindziej, a mianowicie na gubernie, za granicą w sąsiedztwie leżące. Wysłano tam z Berlina dwóch agentów, polaka i niemca, którzy objeżdżają pograniczne powiaty i zawierają umowy o zabezpieczenie, naturalnie na tych samych warunkach i polisach, które tutaj tyle zawodu, straty, biedy i uciążliwych procesów porobiły. Niechże się jeszcze ratuje, kto może... *).

W okolicach Torunia daje się spostrzegać od pewnego czasu jakiś dziwny ruch między właścicielami niemieckimi większej posiadłości, który można by określić charakterystycznymi wyrazami „brak zasiedziałości.“ Ludzie ci bowiem nie mogą jakoś zasiedzieć się na nabytej ziemi, która przechodzi z rąk do rąk. W tych dniach zanotowały znów dzienniki dwie takie tranzakcye — dobra Libenthal w Kwidzyńskiem i Stare Grabowo w Kościerskiem zmieniły właścicieli dotychczasowych. Nadto jeszcze zakupił fiskus leśny z rąk niemieckich i polskich znaczne obszary dóbr Zdunowice i Sulęczyn w powiecie kartuzkim dla zalesienia, jak to już uczyniono w powiatach chojnickim i człuchowskim. Najlepiej na tem rządowem kupnie wyszli włościanie polscy, bo przynajmniej dostali pół miliona marek za grunty, które prócz piasku nic innego wydawać nie chciały. Dziś szukają oni do nabycia lepszej roli, gdzieby mogli osiąść i na nowo pracować, tym razem atoli skuteczniej.

* * *

Ile razy poruszona zostanie wiadomość o obsadzeniu arcybiskupstwa przez papieża, wnet okazuje się, że była przedwczesna, a tu tymczasem dusze pobożne pozbawione są kierownictwa, pisma — „inspiratora“ duchowego, a „polityka“— dowódcy. Ale teraz już na prawdę ma nastąpić nominacya, a nawet *Nordd. Allgemeine Zeitung* ją stwierdza, tylko podaje nazwisko osoby, o której dotychczas nikt nie myślał, a mianowicie mówi o ks. dr. Likowskim **). To pewna, że między Watykanem a Berlinem nastąpiła w tym kierunku żywa wymiana zdań, a zarazem że w pierwszej połowie maja ma się odbyć konsystorz, na którym papież będzie prekonizował nowego biskupa strasburskiego. Być może tedy, że przy tej sposobności wyjdzie już i osoba naszego arcybiskupa na światło dzienne, stanowczo jednak tego powiedzieć nie możemy, bo na wszelkie zapowiedzi watykańskie prawie nie należy liczyć.

Jubileusz Towarzystwa naukowej pomocy im. Karola Marcinkowskiego, o którym niedawno pisaliśmy, odbył się już i to bardzo poważnie, ładnie i uroczyście. Przedewszystkiem d. 15 kwietnia zebrali się b. stypendyści Towarzystwa pod przewodnictwem radcy d-ra Zielewicza. Okazało się przy tem, że z datków samych b. stypendystów zebrano dotychczas 9,700 marek. Uchwalono złożyć go do rąk dyrekcyi jako fundusz żelazny, a jej pozostawiono rozporządzenie procentami. Zarazem uchwalono przedłużyć termin zbierania składek do 1 lipca, a wykaz ofiarodawców z wymienieniem sum ma wejść do akt dyrekcyi.

Sama uroczystość jubileuszowa zajęła dwa dni, 20 i 21. Rozpoczęła się ona żałobnem nabożeństwem w kościele św. Wojciecha za ś. p. Karola Marcinkowskiego. We wtorek, tj. dnia następnego odprawiono dziękczynne nabożeństwo w kościele farnym, a potem odbyło się w wielkiej sali bazarowej posiedzenie jubileuszowe, które połączono ze zwyczajnem walnem zebraniem za r. 1891. Potem urządził komitet obywatelski w hotelu francuskim ucztę, na której była obecna cała dyrekcya Towarzystwa, kilku posłów wybitniejszych i wiele osób zpośród duchowieństwa i obywatelstwa. Wieczorem zgromadzono się w teatrze polskim, gdzie wygłoszono prolog odpowiedni, kilka mów i zakończono uroczystość koncertem.

Założone w Prusach zachodnich Towarzystwo pomocy naukowej na wzór Towarzystwa ś. p. Marcinkowskiego skończyło już rok 42 swej działalności i rozesłało swe sprawozdanie roczne między członków. Ze względu na miejscowe stosunki zorganizowano je nie wedle powiatów, lecz wedle parafij, w których ma 87 (lub 56) kasyerów. W powiatach zupełnie zniemczałych, jak w wałeckim, suskim, malborskim i elblągskim, nie ma ani kasyerów, ani też członków. Wszystkich członków liczy Towarzystwo 456; suma przyobiecanych wkładek wynosi 4,174 marek, lecz wpłynęło faktycznie 3,794, a zaległości w kwocie 380 marek przybędą dopiero później. Ze składek nadzwyczajnych, procentów od kapitałów i pozostałości kasowej zeszłorocznej zebrała się również spora sumka, tak że ogólny dochód wynosił 10,430 m. Głównie użyto dochodów na stypendya dla młodzieży, której dano 7,353 m., koszta administracyi wynosiły 461 m., a na uregulowanie konta kapitałów procent przynoszących przy zakupnie listów zastawnych wydano 864 m., tak że na rok przyszły pozostaje jeszcze w kasie 1,752 m. 11 fen. Stypenya pobierali akademicy i gimnazyaści, pierwsi otrzymali razem sumę 5,025 m. drudzy resztę. Do Towarzystwa przystąpiło nowych członków 74, wnosząc składkę roczną 240 marek, ubyło zaś 21.

Również i toruńskie Towarzystwo naukowej pomocy dla dziewcząt polskich ogłosiło swe sprawozdanie za rok dwudziesty działalności. Nie jest ono tak popularne, jak dla młodzieży męzkiej, ale liczy również wielu członków, bo w roku ubiegłym aż 384. Nie tak wielkie za to są dochody; składki w r. 1890 przyniosły tylko 1,673 m. 25 fen., a był powiat (złotowski), który ani feniga nie dostarczył na ten cel i ani jednego nie posiada członka w Towarzystwie. Prócz składek dały także dochód i legaty, wskutek czego można było wesprzeć 21 stypendystek. Wydano 2,117 m. 42 fen. i zatrzymano jeszcze w kasie 1,436 m. 27 f. Stypendystki poświęcają się nauce modniarstwa, muzyki, buchhalteryi, prasowania, krawieczczyzny, szycia białego, a jedna ma być boną.

Bawił tu na gościnnych występach p. Roman Żelazowski, znany dobrze publiczności warszawskiej. Przyjmowano go serdecznie i z zapałem.

t. z.

*) W pismach naszych ogłoszono już ostrzeżenie jednego ze złapanych na tę wędkę. *Red.*

**) I tej kandydaturze pisma niemieckie zaprzeczyły. *Red.*

LIBERUM VETO.

Płodność obecnej epoki. — Panująca jej nuta. — Wędrówki ludów. — Emigracyjny ruch żydów. — Plany Hirscha. — Palestyna i Argentyna. — Nieunikniona konieczność. — Olbrzymi teatr. — Jubileusz p. Tatarkiewicza. — Jeden ze złożonych mu hołdów. — Wyparcie p. Brodzkiego z zarządu Kasy przemysłowców.— Protest *Gazety rzemieślniczej.* — Szkodliwe rogi.

Epoka nasza, dosyć jałowa pod względem dzieł głębokiego natchnienia i myśli, jest bardzo płodna w wynalazki i śmiałe przedsięwzięcia. Jej geniusz wypływa z jej potrzeb — przeważnie materyalnych. Może nie było w dziejach chwili tak mocno, jak dzisiejsza, zaprzątającej umysły sprawami bytu ekonomicznego. Gdybyśmy wskrzesili ludzi z paru ostatnich stuleci, obok podziwu nad dokonanymi postępami w rozmaitych kierunkach, ogarnęłoby ich zdumienie, że w życiu naszem tak dalece zapanowała troska o chleb powszedni. Odbywa się olbrzymia wędrówka narodów po całym globie ziemskim, może przewyższająca swoimi rozmiarami upamiętnioną w historyi. Tłumy europejczyków płyną do Ameryki, Afryki, Azyi, Australii, a nieraz te stada ludzkie lecą na oślep, jak owady, z biegiem wiatru, za wskazówkami instynktu, który je tylko pcha i pobudza, ale nic pewnego nie obiecuje. Stosunkowo może nie ginie tyle szarańczy, ile ludzi w tym ruchu emigracyjnym.

Do jego licznych i różnorodnych potoków przyłączył się w ostatnich latach żydowski. Gromady izraelitów przesunęły się bądź ze wschodu na zachód Europy, bądź do Ameryki. Ruch ten, potęgujący się i potęgowany, zajął uwagę wielu ludzi, dla których nie mógł być obojętny. Jedni chcą mu nadać pomyślny kierunek, drudzy go odeprzeć i przed swoim progiem zatamować. Ani Europa zachodnia, ani Ameryka północna nie pragną wpuścić do siebie żywiołu, który nie przyniesie im kultury, a wprowadzi oporną odrębność. Bo naturalnie głównych dopływów dostarcza emigracyi uboga, ciemna, w swej odmienności skostniała masa żydów ruskich i austryackich, którzy wędrują ze swą nędzą i nieudolnością do pracy produkcyjnej. Co oni robić mogą, jak się utrzymać we Francyi i Anglii, gdzie nawet nie znajdą pola do tego, do czego ich długie wieki zaprawiły — do handlu? Żaden zaś naród nie otwiera chętnie swych drzwi gościom, których karmić musi. Anglia, najmniej przeniknięta antisemityzmem, posiada już w Londynie tak obfite zbiorniki proletaryatu żydowskiego, że boi go się pomnażać.

Najhojniejszy dobroczyńca swoich współbraci baron Hirsch, który już im darował 12 milionów w Galicyi i nadal nie zamyka swej kieszeni, oddawna szuka dla nich miejsca na kuli ziemskiej. Sam, czy też łącznie z Rotschildem, myślał o zwróceniu emigracyi żydowskiej do Palestyny i wskrzeszeniu tam państwa izraelskiego. Przyznać trzeba, że była to idea śmiała. O ile bowiem nie powędrowałyby do klasycznej ziemi Starego Zakonu jednostki, które wrosły w inny grunt, umiłowały go i pragnęłyby na nim pozostać, lecz rzesze, które jak lotny piasek wichrem zagnany spoczywały po rozmaitych miejscach Europy, mógłby tam rzeczywiście zmartwychwstać naród dość jednolity, a nadewszystko spojony wspólnością wierzeń, wspomnień i obyczajów. Ale Palestyna nie jest starym domem, który można odkupić i odrestaurować; na gruzach dawnej siedziby Izraela powstała nowa, a w niej zamieszkali inni ludzie, dla których ona stała się ojczyzną.

W przeszłym tygodniu gazety doniosły, że Hirsch postanowił skierować emigracyę żydów do Argentyny i na ten cel ofiarował 20 milionów (czego?). Oblicza on, że z samej Rosyi zdoła wysiedlić 50,000 (?) rodzin. Wiadomość ta wydaje się mocno podejrzaną w cyfrach. Bo nawet zredukowawszy liczbę rodzin sto razy, trzeba uwierzyć, że Hirsch posiada w swym majątku miliardy, o co go dotychczas nie posądzono. Mniejsza wszakże tym razem o rachunek, ważną tu jest głównie tkwiąca w nim idea — otworzenia wychodźcom żydowskim jakiegoś szerszego upustu. Czy takim dla nich zlewem będzie i być może Argentyna — nie śmiem rozstrzygać, gdyż nie mam odwagi tych półgłówków, którzy językiem lub piórem rozgarniają ludzi po kuli ziemskiej wedle konceptu. O tem sądzić mogą tylko poważni znawcy miejsca i warunków. Czy Hirsch posiada dość siły i chęci do uregulowania tak olbrzymiego przypływu ludzi — również nie wiem. Jestem wszakże

przekonany, że „kwestya żydowska,“ o ile obejmuje w sobie ciemne, biedne i obcem ciałem tkwiące w narodach europejskich masy, musi się zakończyć ich wychodźctwem i nowem rozproszeniem się po świecie, które nastąpi jako konieczność, już nie polityczna, rasowa lub wyznaniowa, ale ekonomiczna. Widzą to Hirschowie i dlatego przyspieszają proces nieunikniony, usiłując mu nadać przebieg możliwie łagodny i oszczędzający ilość ofiar. Z tą ideą oswajają się coraz bardziej tak umysły ludu tułaczego, jak jego przewodników, opiekunów i dobroczyńców, zyskuje ona coraz więcej wyznawców potężnych środkami i przy końcu obecnego stulecia przedstawi nam niezawodnie widok nowej, olbrzymiej wędrówki Izraela, któremu obiecywano, że posiądzie całą ziemię, a nie ma na niej ani jednego własnego skrawka.

Chociaż mówiąc o tym przedmiocie, nie wychodziliśmy z domu, zwróćmy się jednak do spraw bardziej miejscowych, rozumie się, teatralnych. Bo i cóż — jeśli nie na niebie — to na ziemi może być dla nas ważniejszego! Jeden z korespondentów prowincyonalnych zaczyna swój list w pewnym dzienniku od tych słów: „Przepraszam czytelników, że dziś nie mogę im donieść żadnych nowin z teatru, gdyż itd.“ Niemożność — na szczęście bardzo rzadko się zdarza — pisania o teatrze jest boleścią, ciężkiem zmartwieniem, czasem kompromitacyą. Warszawa zaś tak wykształciła pod tym względem prowincyę, że sądząc z prasy, możnaby wyobrazić sobie nasz kraj jako wielką sieć kółek scenicznych, w których pracują miliony ludzi z ochotą i wytrwałością. Na takiem tle życia nader uroczyście i wyraźnie odbić się musiał jubileuszowy benefis p. Tatarkiewicza. Skromnie licząc, jest między nami milion mężczyzn, którzy pragnęliby zostać Tatarkiewiczem i skosztować jego sławy. Mimo to nie poświęcę mu zbyt wiele słów z powodu ukończenia 25 lat pracy. Po prostu nie umiem do kadzielnic aktorskich rzucać mirry. Grywał swe role rozmaicie, raz dobrze, drugi raz pięknie, kiedyindziej słabo — co więcej do tych słów dodać można? Wymowniejsi ode mnie dodali, ale to przerasta moje siły. P. Tatarkiewicz wszakże był również reżyserem. W tym charakterze nie miał żadnych ideałów, upodobań, zasad, lecz wybierał sztuki według wskazówek ich zagranicznego rozgłosu. Właściwie nasz repertuar układa się w Paryżu, a w Warszawie ulega tylko bardzo nieznacznym zmianom. Ażeby jakiś utwór Dumasa lub Sardou nie był u nas wystawiony, wprost trudno sobie wyobrazić nawet wtedy, gdyby pisarzom francuskim podobało się uscenizować cedułę kolejową. Temu obowiązkowi p. Tatarkiewicz czynił zadość, sumiennie i tem chętniej, że on go uwalniał od kłopotliwej, bądź co bądź, samodzielności. Reżyser warszawski nosi na głowie kilka koron cierniowych, a jedną z nich wkłada mu prasa, przed którą on ciągle przejeżdża jak młynarz z osłem i synem w bajce. Przeciwko zaś najrozmaitszym wyrzutom i niezadowoleniom najskuteczniejszą osłoną jest etykieta paryska. Kierownik sceny potrzebuje tylko powiedzieć krytykom: tę sztukę grano w Odeonie lub Komedyi francuskiej — i już jest zabezpieczony od nagan. Pod tą tarczą może wystawiać: *Ptasie mleko*, *Rybie chóry*, *Małżeństwa trójkątne*, *Tańczące akacye*, *Skromne ladacznice*, *Zadowolonych męczenników*, *Chore bakterye* itp. Jakieś ustępstwo trzeba zrobić nawet dla niskiego pułapu, pod którym zupełnie wyprostować się nie można. Więc reżyser warszawski musi wystawiać od czasu do czasu sztuki oryginalne. P. Tatarkiewiczowi poczytano to za szczególną zasługę. Czy od tego listka wawrzynowego nie pada na was rumieniec wstydu, panowie autorowie sceniczni? Czy was rzeczywiście przejmuje wdzięcznością ta myśl, że wasze utwory grywano? Nie pochylajcie głów tak nizko. Dość upokorzenia, gdy musicie wkradać się w łaski, pokonywać natręctwem i umizgami reżysera, ażeby waszym dzieciom raczył przez kilkanaście wieczorów zapalić światło kinkietów. To wystarcza; po co jeszcze za względność, za tolerancyę czy protekcyę dla swojskiej muzy składać mu hołd publiczny. Albo nasza literatura teatralna ma jakąś wartość, albo posiadamy w niej istotne talenty, albo nie; w drugim wypadku słusznie czynimy, całując w ręce aktorów, którzy raczą nasze utwory odgrywać; ale w pierwszym chyba nie autorowie powinni dziękować za zaszczyt i sławić zasługi aktorów. Zastanówmy się, coby powiedziano w Paryżu, gdyby podczas jubileuszu rzucono reżyserowi od prasy wieniec za to, że wystawiał sztuki oryginalne? Sądzę, że ten koncept dostarczyłby roznosicielom gazet wątku do bardzo wesołych śpiewek.

Jeżeli jagnię głośno się skarży, to musi istotnie cierpieć. *Gazeta rzemieślnicza* nie nie jest pismem drapieżnem, nie rozsyła często pozwów i nie wydaje potępiających wyroków. Skoro więc ona zamieściła artykuł z silnymi akcentami oskarżenia, widocznie źle wszrubowało się w jej serce bardzo głęboko. Mianowicie piętnuje ona „fakt niebywały, wypadek szczególny, jakiego kroniki u nas od dawna nie notowały.“ Co takiego się stało? P. Brodzki, majster mularski i starszy zgromadzenia, sekretarz sekcyi rzemieślniczej w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, a następnie jej wiceprezes, człowiek „nieskazitelnej uczciwości i otwartego charakteru,“ rozumny i śmiały obrońca rzemieślników, należał jako ich przedstawiciel do zarządu Kasy przemysłowców warszawskich. Nie uważając jej za najlepszy z Olimpów, ostro ścierał się z innymi członkami, zwłaszcza gdy chodziło o krzywdę tych, których był rzecznikiem. „Przyjemniej jest — mówi *Gazeta* — słyszeć pochwały i wąchać dym kadzideł, niż spotkać się z krytyką i to słuszną, przed którą trzeba uchylić czoła, której racyę, chociaż z niechęcią, przyznać wypada. Nie dziwmy się więc, że w odnośnem kółku zapragnięto pozbyć się człowieka, który taką krytykę z sobą wnosił.“ Wybrano ku temu metodę bardzo prostą, za prostą: nie pomieszczono p. Brodzkiego na liście kandydatów do zarządu. Stąd zgroza *Gazety*. Nie jest to wszakże tylko ujęcie się za człowiekiem odebranej mu roli godnym, ale protest przeciwko zamachowi szerszego rozmiaru. „Fakt ten bowiem — według wspomnianego pisma — wskazuje, iż nas rzemieślników od instytucyj *naszych*, do tego przez *nas samych* założonych, usuwają i to usuwają w niezmiernie niegrzeczny, brutalny nawet sposób.“ Jeżeli tak jest rzeczywiście, a *Gazeta* upewnia, że wiadomości jej są sprawdzone, to zarząd Kasy rozpoczął grę, która wobec opinii publicznej, już dziś niepobłażliwej na taką poniewierkę klasową, z jego korzyścią wypaść nie może. Powinien on zrzucić z siebie rogi, którymi pobódł p. Brodzkiego i nie pozwolić im odrosnąć.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Najnowsza próba uprawidłowienia handlu zbożowego. — Kredyt melioracyjny. — Znamienne objawy. — Przedsiębiorczość chłopska.

Zanim przyjdzie kolej na ministeryum rolnictwa, mające nieść skuteczniejszą i zorganizowaną pomoc tej najpotężniejszej gałęzi gospodarstwa, tymczasem zadawalać się ona będzie instytucyą regulującą handel zbożowy. Jest nią zawiązana przy ministeryum skarbu *stała rada dyrektorów departamentów* oraz zarządzającego Bankiem państwa. Wezmą w niej udział z głosem doradczym osoby uboczne, kompetentne w podnoszonych sprawach. Instytucya taześrodkuje w sobie wszystkie usiłowania dotyczące handlu zbożowego: statystykę, klasyfikacyę zboża, giełdy zbożowe, kwestyę wag i miar itd. Wszystko, co dotąd czyniono w sprawie przystosowania organizacyi rosyjskiego handlu zbożowego do wymagań wymiany wszechświatowej, polegało na szeregu doniosłych, lecz jednocześnie luźnych pojedynczych i niezwiązanych z sobą ogólnym planem prób. Każdy z pięciu departamentów działał na własną rękę. Tak np. wiadomości o cenach zboża zbierane są aż przez trzy jednocześnie departamenty, żaden jednak z nich — według słów *Mosk. Wied.* — nie opracował ogólnej charakterystyki stanu cen na rynkach wewnętrznych i zewnętrznych. Elewatory prywatne znajdują się pod dozorem departamentu przemysłu i handlu, gdy kolejowe ma w swojej opiece departament dróg żelaznych. Operacye składowe, jeżeli są dokonywane na zasadzie prawa z d. 30 marca 1888, znajdują się pod kontrolą jednego departamentu, jeżeli zaś na podstawie prawa z d. 14 lipca tegoż roku — pod pieczą innego. Otóż wszystkie te sprzeczności, mające swoje przyczyny w naturze rozwoju władz, pogodzi w sobie nowo zorganizowana stała rada dyrektorów departamentalych. Wynikła ona z potrzeb rynku wszechświatowego i ostatecznem uregulowaniem handlu zbożowego winna je zadowolić.

Potrzeby te zaś są niemałe. Najważniejszą z nich jest umiejętne sortownictwo zboża, które skutkiem swego zaniedbania zrządza najdotkliwsze straty wytwórcy. Pouczającemi są w tej mierze dokonane przez ministeryum skarbu badania nad zanieczyszczeniem ziarna zbożowego. Wiadomo, że pszenica ruska jest poszukiwana skrzętnie na rynkach zagranicznych, że zaś kupują tam ją taniej, niż amerykańską i miejscową, wynika to stąd, iż towar ten w swojej ojczyźnie nie otrzymał wymaganej przez spożywców postaci. „Praktyka handlowa pod tym względem — powiada *Dień* — wytworzyła rodzaj koła zaklętego. Wywozowcy ruscy twierdzą, że nie kupują czystego zboża dla tego, ponieważ nabywcy zagraniczni płacą za nie tyleż, co za nieczyszczone; cudzoziemcy znów skarżą się, że kupcy ruscy, sprzedawszy zboże czyste, dostarczają zaśmiecone, dla tego też próbkom ich nie można ufać. Nie mając bodźca, wytwórcy również nie dbają o jakość zbywanego zboża.“ A jednak niektórzy kupcy zrozumieli doniosłość sprzedaży oczyszczonego i jednogatunkowego ziarna. Według wiadomości, zebranych przez petersburskiego inspektora zbożowego, kupcy libawscy ciągną znaczne zyski z oczyszczenia zboża, które nabywają zaśmiecone. Założyli kilka własnych składów — elewatorów i za pomocą dość prostych przyrządów sortowniczych mogą odpowiedzieć wymaganiom rynku zewnętrznego. A są one bardzo surowe. Niejednogatunkowość pszenicy np. zniża jej wartość do 10 kop. na pudzie, obecność plew i innych domieszek — do 15, obecność ziarn zaśniedziałych lub nadpsutych przez owady — do 20! Ta okoliczność pozwala libawskim wywozowcom za oczyszczenie ziarna otrzymywać od 20 do 40 rs. zysku na wagonie, tj. na 600 pudach. Rocznie zaś skupują oni do 60 wagonów zanieczyszczonego zboża. Kupiec więc korzysta tutaj ze szkodą wytwórcy, który nie ujął jeszcze sprawy oczyszczenia zboża w swoje ręce.

Ten nienormalny stan rzeczy, zdaniem ministeryum finansów, usunąć może tylko klasyfikacya ziarna i inspekcya, dająca rękojmię tożsamości próbek z wysyłanemi na rynki zagraniczne partyami zboża. Ale klasyfikacya ziarna w Rosyi słabo jeszcze postąpiła naprzód, czemu zresztą na przeszkodzie stoi niezwykła rozmaitość klimatów i gleby w tak rozległem państwie, skąd znów pochodzi różnogatunkowość zboża. Klasyfikacyą zboża ruskiego zajmowała się zeszłej zimy szczególna komisya przy

elewatorze petersburskim, która wzięła na siebie zadanie opracowania normalnych próbek. Z wykończeniem sieci elewatorów i ustanowieniem przy nich inspekcyi, próbki te posłużą za wskazówki w sortownictwie. Gdy do tego dodamy jeszcze kredyt oparty na warrantach dla wytwórców — usiłowania ministeryum skarbu wydarcia ziemian z objęć wyzyskującego pośrednictwa tem się wyczerpią. Działalność wszakże stałej rady dyrektorów prawdopodobnie dalej jeszcze pójdzie w kierunku regulacyi handlu zbożowego.

Rolnicy prócz poparcia w zakresie wymiany, doczekają się wkrótce nowej dźwigni, która ma podnieść wydajność ich wysiłków w obrębie produkcyi. Jest nią organizacya kredytu melioracyjnego, którym zajmuje się także osobna komisya. W naszkicowaniu projektodawczem tak on wygląda: Fundusz pożyczkowy czerpany będzie ze skarbu. Kredyt dzieli się na krótko i długoterminowy — pierwszy przeznaczony na nabywanie przedmiotów mniejszej wartości, jak maszyn i narzędzi, bydła rasowego, koni pełnej i półkrwi, drugi na ulepszenia, wymagające znaczniejszego nakładu i specyalnej pomocy technicznej, jak np. irygacya, osuszanie itd. W celach udzielania kredytu długoterminowego i kontroli nad robotami, prowadzonemi kosztem pożyczki rządowej, powstanie przy ministeryum dóbr państwa szczególny komitet. Krótkoterminowy pod kontrolą tegoż urzędu powierzony zostanie instytucyom miejscowym, jako najlepiej obeznanym z potrzebami danej okolicy kraju. Gdzie są ziemstwa, im będzie powierzone operowanie kredytem. Czynności wstępne, poprzedzające przyznawanie kredytu krótkoterminowego, dokonywać mają władze powiatowe, czynności zaś wyższej kategoryi — gubernialne. Osoby, potrzebujące kredytu melioracyjnego, zwracać się mają do ziemstw, które, załączywszy swoje zdanie co do istotnej potrzeby i odpowiedzialności majątkowej pożyczkobiercy, odnośne prośby poślą władzom gubernialnym. Z inicyatywy tych ostatnich i za zgodą ministra dóbr państwa mogą być uzyskane większe pożyczki na cele ogólniejsze, jak np. zakładanie owczarń zarodowych, szkółek drzew owocowych itp. Najbliższa kontrola nad właściwym rozdziałem i zużytkowaniem sum kredytu krótkoterminowego należy do władz gubernialnych; ogólna zaś kontrola i rozstrzyganie kwestyj spornych oraz nieporozumieńześrodkuje się we wzmiankowanym komitecie.

Taki jest szkielet tej nowo organizującej się pomocy dla wielkich rolników. Chociażby ta instytucya działała najidealniej, nie stanie się cudotwórczą krynicą, z której popłynie obfity strumień renty. Zrobi ona, co może — resztę jednak dopełnić musi przedsiębierczość tych, dla których ją powołają do życia. Tylko samodzielność rolnika i zespolenie (związki, syndykaty) uchronią go od rozczarowania, tylko rozumne zużytkowanie kredytu melioracyjnego nie uczynią tej pomocy państwa ziarnem zagrzebanem w jałowej ziemi. Pod tym względem Europa zachodnia daje pouczający przykład, na który niektórzy publicyści ruscy każą się zapatrywać rolnikom. „Dla zorganizowanych w miejscowe związki gospodarzy wiejskich— powiada *Dień*— otworzy się bardzo korzystne i żyzne pole działalności. Na pierwszym planie, pod tym względem winno znaleść się naturalnie praktyczne zaspokojenie ogólnych potrzeb i zawiązywanie spółek w takich gospodarczo-handlowych przedsiębiorstwach, gdzie siły pojedyncze są za słabe. Tu należą: osuszanie błot, roboty irygacyjne, nabywanie maszyn, narzędzi i nasion, budowa drobnych elewatorów z zaliczeniami na ziarno, dostawa bezpośrednia na rynki wytworów, budowa i ulepszenia dróg dojazdowych, zakładanie bibliotek, pól doświadczalnych, stacyj meteorologicznych i t. d.“ Że na to pole zbiorowych, zorganizowanych wysiłków rolnicy niebawem zaczną wchodzić tłumnie, trudno wątpić: początek dały niektóre towarzystwa, np. połtawskie, łochnickie, kurskie, mińskie, pskowskie i wiele innych. Prawie wszystkie one urządziły składy narzędzi rolniczych, maszyn i nasion, które gospodarze mogą nabywać na raty. Nadto, niektóre towarzystwa zajęły się polepszeniem tej lub owej gałęzi gospodarstwa wiejskiego, w zależności od warunków miejscowych. Połtawskie np. sprowadza z Buchary owce (karakuły) i odprzedaje na raty gospodarzom, skutkiem czego znacznie wpływa na udoskonalenie miejscowej rasy. Pskowskie zajęło się hodowlą lnu, wyrobem płócien i upowszechnieniem śród gospodarzy środków nawozowych; nareszcie mińskie zorganizowało dostawę zboża intendenturze wojskowej i urządziło (w Mińsku) własną rzeźnię. Najpotężniejsze jednak usiłowania są te, które podjęło kijowskie Towarzystwo rolnicze. Sięgnęło ono zbiorową ręką ziemian handlu wywozowego. Zawiązało bezpośrednie stosunki z syndykatem młynarzy francuskich, buduje własne składy zbożowe w Odesie i oczyszczoną, rozsortowaną pszenicę wysyła do Marsylii, gdzie powierzy pewnej firmie handlowej, która zobowiązana jest innego zboża nie sprzedawać, prócz wyprodukowanego przez rolników ukraińskich, odbierać je w Odesie i należność wypłacać gotówką w miarę odbioru. Agentura prócz pszenicy winna sprzedawać także wszelkie inne produkty rolników stowarzyszonych. Nadto Towarzystwo skupywać będzie zboże nietylko od swoich członków, ale i od innych wytwórców, dążąc w ten sposób wyraźnie do zupełnego usunięcia pośrednictwa w handlu.

Przytoczone fakty świadczą jawnie, że pod wpływem tegoczesnych warunków rynku wszechświatowego rolnictwo w Rosyi przechodzić zaczyna w nowe stadyum rozwojowe — musi wejść w okres wybitnie kapitalistycznej produkcyi, więcej wchłonąć w siebie zasobów i bardziejześrodkować się. Kredyt melioracyjny, elewatory, komisye zajęte uporządkowaniem wymiany i ulepszeniem dróg dojazdowych, taryfy zbożowe — wszystko to jest wyrazem tego zwrotu. Tym szlakiem utorowanym przez państwo potoczyć się musi wózek gospodarki prywatnej.

Cóż chłop wobec tego prądu? Tu i owdzie, o ile go jeszcze nogi utrzymać mogą, daje się nim porwać. Tu i owdzie w pierś tego żółwia postępu gospodarczego wstępuje duch przedsiębierczości i pcha go do walki z wyzyskiem drobnego, obcoplemiennego pośrednictwa. Ciekawe pod tym względem podaje szczegóły dla gub. grodzieńskiej *Wilenskij Wiestnik*: „W ostatnich czasach powoli zaczyna budzić się śród włościan poczucie samodzielności i pragnienie wyzwolenia się od haniebnej zależności w handlu i przemyśle od żydów. Gdzieniegdzie można spotkać włościanina dzierżawiącego ziemię, nabywającego z przetargu działy lasu skarbowego na spław za granicę, utrzymującego pocztę gminną. Niektórzy budują lub dzierżawią młyny i zajmują się mlewem.“ Ale cóż z tego? Pole działalności jeży się jeszcze przeszkodami, które wznosi współzawodnictwo starych, zacofanych i uciążliwych pośredników. Przychodzi do zaciętej walki. Oto przykład z Wołkowyskiego, podany przez wzmiankowane pismo: „Jeden z włościan miasteczka Porozów zbudował ładny wiatrak, który wkrótce stał się niebezpiecznym współzawodnikiem dla czterech, dzierżawionych przez żydów młynów wodnych, położonych w pobliżu miasteczka. Ponieważ wiatrak chłopski mełł o 1 kop. na pudzie taniej, niż młyny wodne, dostarczał mąki lepszego gatunku, na rozpylenie potrącał mniej, przeto ludność okoliczna niebawem zupełnie odwróciła się od młynów żydowskich. Na domiar złego chłop-młynarz zaczął nabywać żyto po dworach i u włościan, przyczem za żyto płacił o 5 kop. drożej, a mąkę sprzedawał o 3 kop. taniej. Tego było nadto—i oto pewnego pięknego rana młyn spłonął. Spaliło się przeszło 200 pudów zboża nieubezpieczonego i pomimo asekuracyi wiatraku, strata wyniosła 700 rs.“ Niema jednak obawy, żeby ta klęska zbiła chłopa z tropu. Samodzielność „kułaka“ bywa równie żelazną, jak każdego innego rosnącego kapitalisty.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W dwu instytucyach naszego społeczeństwa: Kasie pomocy adwokatów przysięgłych i Towarzystwie dobroczynności warszawskiej zostały zmienione ustawy: 1) Kasa obrończa była pod bezpośrednią kontrolą i opieką generał-gubernatora, obecnie będzie pod dozorem starszego prezesa Izby sądowej i prokuratora. Ten ostatni ma prawo przeglądania w każdym czasie wszelkich papierów i ksiąg kasy, oraz wolny wstęp na ogólne zebrania jej członków. Korespondencya, wszystkie czynności biurowe kasy, wszelkie ustne rozprawy zarówno na posiedzeniach zarządu, jakoteż na zebraniach ogólnych, obwieszczenia o terminie zebrań prowadzone będą w języku ruskim. Nadto, kapitał obrotowy kasy, używany między innemi na zakup potrzebnych książek, obracany będzie jedynie tylko na książki niezbędne do czynności biurowych i rachunkowych. 2) Towarzystwo dobroczynności. W rzędzie innych zmian, których dokonywa w niem [illegible] ustawa jest ta, że cała korespondencya, rachunkowość i protokuły —prowadzone nadal będą w języku ruskim.

— Zatwierdzona została ustawa normalna kas emerytalnych dla oficyalistów i robotników kolejowych. Emerytury na jej podstawie wydawane będą w tym razie, jeżeli robotnik z powodu starości lub kalectwa utracił możność dalszej pracy, jednocześnie zaś był uczestnikiem kasy przez lat 15. Jeżeli uczestniczył w niej tylko lat 7, otrzymuje zapomogę w czasie choroby lub śmierci jednego z członków swej rodziny. Kapitał kasy powstaje z pewnej części czystego dochodu kolei i strąceń z pensyj robotników w stosunku $1\frac{1}{2}$%.

— Projektowane jest nowe powiększenie m. Warszawy za pomocą przyłączenia do niej przedmieść: Wolskiego, Czystego, Koła i Powązek. Przysporzy to mia-[illegible]

Oświata i szkolnictwo. Komisya zajmująca się przy ministeryum dóbr państwa opracowaniem typu wyższych zakładów naukowych rolnych, wydelegowała kilku specyalistów do Niemiec, Francyi, Austryi, Belgii i Anglii celem zbadania urządzeń w tamecznych akademiach i instytucyach rolniczych.

— Ministeryum dóbr państwa ma wkrótce urządzić w różnych punktach gub. południowo-zachodnich kursy ogrodnictwa i sadownictwa.

Teatr. Trupa ruska p. Sawinowej i p. Dalskiego rozpoczęły przedstawienia w teatrze Letnim.

— Wprowadzono ograniczenia w wydawaniu biletów wolnego wejścia do teatrów rządowych. Obecnie tylko artyści, którzy otrzymują bilety, korzystać z nich mogą. Takiemu samemu obostrzeniu uległy już uprzednio bilety wolnego wejścia dla prasy.

Sprawy ekonomiczne. Komisya zajmująca się uregulowaniem środków popierających gospodarstwo rolne, złożyła już swój projekt w Radzie państwa. Proponowane w nim środki są następujące: 1) zorganizowanie prawidłowego kredytu leśnego na zasadzie wzajemności; 2) popieranie gospodarstw, usiłujących sprowadzać ulepszone rasy bydła rogatego i wogóle opierających się głównie na hodowli bydła; 3) możliwie śpieszne wprowadzenie systemu warrantów w handlu zbożowym; 4) skierowanie gospodarstw ku produkcyi przemysłowej; 5) państwowa asekuracya zasiewów i bydła; 6) gorliwe popieranie wywozu wytworów rolnych w stanie przerobionym.

— W Częstochowie p. Herbe zakłada fabrykę spinek i guzików z masy perłowej. Będzie to w tem mieście druga podobna.

— W Warszawie powstać ma wkrótce fabryka obrazów malowanych na drzeworytach, sztychach (?) itp.— na wzór zagranicznych, mających u nas pomyślny odbyt. Przedsiębiorcą jest krajowiec, który zbadał w Wiedniu i Berlinie sposoby produkcyi tego towaru i teraz

będzie doli owieczki ojczyste za pomocą rodzimej sztuki, przerabianej w krajowym przemyśle. Wątpić trudno, że to połączenie kapitału z „wzniosłemi uczuciami“ da mu obfite żniwo...

— W celu nadania szerszego rozwoju bezpośrednim dostawcom zboża dla wojska, ma być w Petersburgu zwołany zjazd przedstawicieli intendentur wojskowych i towarzystw rolniczych.

— Warszawski oddział azowsko-dońskiego Banku handlowego otworzy wkrótce swoje czynności.

— Traktat handlowy z Niemcami zniża cło niemieckie od zboża austryackiego o $3^{1}/_{2}$ marki.

— Towarzystwa rolnicze włościańskie w Prusiech zachodnich, dawniej znajdujące się prawie w każdym powiecie, zmniejszyły się skutkiem — jak powiada *Gaz. polska* — różnych szykan administracyjnych. Utrzymały się tylko w Brodnicy, Chełmży, Kowalewie, Tucholi, Pelplinie i Lubawie. W ostatnich czasach zawiązało się drugie kółko w Pelplinie, obecnie zaś zawiązuje się w Starym Targu pow. Sztumskim.

— Poznański bank włościański miał w r. z. czystego zysku 154.742 m.

Komunikacye. Pociągi spacerowe na kolei Wiedeńskiej kursować będą od 20 maja do 27 września, w dni niedzielne i świąteczne. Wychodzić będą z Warszawy o 9 g. 1 m. 15 zrana, a stawać w Skierniewicach o g. 11 m. 25 przed południem; ze Skierniewic zaś o g. 9 m. 25 wieczorem z powrotem do Warszawy o g. 11 m. 25. Opłata tańszą będzie o 30%. Za biletami spacerowymi będzie można jeździć z Warszawy także pociągami: o g. 6 i 7 m. 5 zrana, oraz kuryerskim o g. 3 m. 35 po południu. Wracać jednak można tylko pociągiem spacerowym tego samego dnia, kiedy był bilet nabyty.

— Pociągi kąpielowe w Galicyi kursować zaczną [illegible]

— *Birż. wied.* donoszą, iż zarządy kolejowe ułożyły 36 kombinacyj wycieczek wewnętrznych, na które wydawane będą bilety okrężne.

— Po uzyskaniu przez kolej petersburską pozwolenia na wydawanie zaliczeń zbożowych, zarząd przystąpi w ciągu bieżącego lata do budowania magazynów. Tymczasem zboże przechowywane będzie w wago- [illegible]

— Na drodze dąbrowskiej od d. 13 kwietnia r. b. wprowadzono amerykański sposób obsługi parowozów. Polega on na tem, że pewna grupa brygad obsługuje zbiorowo pewną ilość parowozów, na stacyach zaś, gdzie dawniej zmieniały się w pociągach parowozy, obecnie zmieniać się będą tylko brygady, maszyny zaś idą dalej. Parowozy więc zmieniają ustawicznie swoich kierowników, którzy zbiorowo za ich całość są odpowiedzialni. Zmiana ta ma jeszcze i tę korzyść dla przedsiębiorców, że przyśpiesza ruch na drodze, nie zwiększając ilości kosztownych lokomotyw.

— Kolej Karola Ludwika obejmuje rząd austryacki od 1 stycznia r. p.

Zaćmienie księżyca. Podczas pełni księżyca w d. 23 b. m. będzie widzialnie u nas całkowite jego zaćmienie. Początek zaćmienia nastąpi w Warszawie o g. 6 m. 5 po południu, początek zaćmienia całkowitego o g. 7 m. 3, koniec o g. 8 m. 33. Koniec zaś ogólnego zaćmienia nastąpi o g. 9 m. 41.

Wypadki. W Rotterdamie spłonął magazyn celny, straty wynoszą 15 milionów.

— W stanie Michigan Ameryki północnej pożar lasów pochłonął kilka miast i 130 m. angielskich obszaru. Pociąg, śpieszący na pomoc, wywrócił się i zapalił, powodując śmierć 80 robotników.

— W Styryi z powodu przerwania się chmury wielkie powodzie.

— Z Wenecyi donoszą, że rzeki Pad, Adyga i Ticino wylały.

Bibliografia. W. O. Didon. *Jezus Chrystus*, Warszawa, Gebethner i Wolff, zeszyty I—V. (Jest to książka wymierzona przeciw podobnej pracy Renana i napisana w duchu religijnym).

— W. Hugo. *Nędznicy*, zesz. III—VI.

— H. Merczyng. *O biegu w rurach wody, nafty i ropy*, str. 28, Warszawa.

— A. Riszlager, *Prokaska trub po sposobu br. Manesman*, str. 19, Petersburg.

— A. Lande. *Materyały do fauny skorupiaków widłonogich* Królestwa Pols. Widłonogi swobodnie żyjące. Rodzina Cyklopy, str. 93, Warszawa.

— Dr. A. Pajewski. *Ciechocinek w r. 1890*, str. 16, Warszawa.

— Dr. K. Dębicki. *Iwonicz* (przewodnik dla chorych), str. 21, Lwów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

X. X. Oprócz tych dwu zalet innych nie dostrzegliśmy, chyba jeszcze tę tylko, że historyjka opowiedziana gładko.

I. P. K. Reklama *Nauka zachowania zdrowia*, tłom. W. Mayzla; wkrótce ma także wyjść *Hygiena* dr. Natansona. W najbliższych tygodniach wydamy *Psychologię dziecka*, gdzie Pani znajdzie żądane wskazówki.

Prenumeratorowi w Halli. Spisu książek w tylu działach pomieszczać tu nie możemy, podajemy więc jedynie kilka tytułów: 1) Historya Korzona i Lewalda (wiek XIX); 2) Hist. cyw. Buckle'a i Hellwalda; dziejów etyki w obu tych językach, a także dobrej hist. fil., fizyologii zwierząt — niema. 4) Ekon. polit. Iwaniukowa oraz wydana naszym nakładem. Początek [illegible]

Pani Wik. Kusz. w M. Można — kop. 30.

Panu Jar. L. Przekładu wiersza W. Hugo nie pomieściłmy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Prenumeratorzy **PRAWDY** otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 3 Мая 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętoch